POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 31-go sierpnia 1940r.*** **Rok II. Nr. 25**

Misja Polski i misja nasza na emigracji

ŚLEPCY I JASNOWIDZĄCY

W dyskusjach i publikacjach politycznych i filozoficznych doby naszej na długo przed wybuchem obecnej wojny światowej spostrzec było można dwie zasadniczo różne opinie co do znaczenia wydarzeń i czasów, które przeżywamy. Jedni mianowicie przewidywali zbliżający się kataklizm, drudzy zaś nie zdawali sobie sprawy z groźnej rzeczywistości, mimo co raz wyraźniejszych znaków czasu, zapowiadających zbliżającą się burzę wojenną.

W Anglii mężem trafnie przewidującym okazał się, przedewszystkim Winston Churchill, obecny premier angielski, we Francji należał do tej grupy osób Paul Reynaud, w Polsce zaś Ignacy Paderewski, Wincenty Witos, Wojciech Korfanty, gen. Władysław Sikorski i inni, którzy na próżno jednak podnosili głos ostrzegawczy.

Wojciech Korfanty na początku kwietnia 1939 roku, czyli *pół roku przed najazdem na Polskę* i początkiem wojny, pisał: "Patrząc na to, co dziś dzieje się w świecie, mamy wrażenie, że odczytujemy w Annalach Tacyta rozdziały o pożarze starożytnego Rzymu, lub przeżywamy grozę zaburzeń, odmalowanych w Apokalipsie św. Jana. Wali się w gruzy nasz świat, tak mozolnie i krwawo zbudowany."

". . . . Dziś znowu świat gorze, płomienie germańskiej żądzy panowania nad światem budzą znowu powszechny niepokój, pożerają miasta, kraje i państwa. Narody, które wczoraj były wolne, przez noc stają się niewolnikami. Ci co wczoraj jeszcze mieli ojczyznę, dziś stają się bezdomnymi. Patrzymy na nową wędrówkę narodów. . . ."

Półtora roku po napisaniu powyższych słów, gdy od najazdu na Polskę i wybuchu wojny mija właśnie rok, w którym nie tylko padła po bohaterskiej obronie w nierównej walce osamotniona wówczas Ojczyzna nasza, ale uległy później także Dania, Norwegia, Holandia, Belgia i Francja, pochłonięte zostały Estonia, Lotwa i Litwa, a okrojone—mimo dzielnej obrony Finlandia, zaś bez oporu i walki Rumunia—dziś, chcąc odmalować wielkość, tragizm i znaczenie wydarzeń, nie można by tego lepiej uczynić, jak Wojciech Korfanty w przytoczonym powyżej wyjątku z artykułu, napisanego pół roku przed wybuchem wojny.

SZUKAJMY PRZYCZYM, ABY SIĘ WIĘCEJ NIE MYLIĆ.

Dla czego więc jedni widzieli, drudzy zaś nie widzieli zbliżającej się katastrofy?

Poszukiwanie przyczyn tego niezrozumiałego dziś wprost braku zdolności przewidywania u odpowiedzialnych mężów stanu, ba u całych narodów czy też wielkich ich odłamów, naprowadza nas również na główne powody tragedii dzisiejszego świata; równocześnie zaś naświetla drogi, mogące nas wyprowadzić z tego straszliwego położenia, które Niemiec nazywa "nowym ładem europejskim."

Historia wykazuje, że ludzkość w swym pochodzie dziejowym stale hołduje takim czy innym *ideom*, które wyciskają swe piętno na danej epoce i wpływają na losy narodów, całych społeczeństw i warstw, a także j e d n o s t e k poszczególnych. Fatalne omyłki i błędy, na których skutki patrzymy wszyscy, dowodzą, że do zasad, którymi ludzkość kierowała się w okresie przedwojennym, musiały się zakraść fałszywe idee i wyobrażenia błędne, które mimo doświadczeń, przestróg i znaków czasu uważano za słuszne i prawdziwe.

ZAPOMNIANO LEKCJI HISTORII.

Ze zdumieniem stwierdzamy, jak dalece Europa zlekceważyła nieomal zupełnie zapowiedzi planów, i metod działania głównego autora dzisiejszej tragedii europejskiej, który przecież bądź w głośnej swej książce, bądź też przez usta swoich dawnych powierników zdradził światu na przód wszystko, czego chciał dokonać i jakimi środkami chciał osiągnąć swoje cele. Zlekceważono także wszelkie doświadczenia dawnej i niedawnej przeszłości, mimo że od wieków ustawicznie powtarzamy przysłowie, iż historia jest nauczycielką życia!

We Francji jeden z uważnych obserwatorów życia społecznego piętnował słusznie w r. 1936 "*niedocenianie nauk przeszłości* jako błąd współczesny nie tylko Francji, ale także zagranicy, jako błąd zarówno europejski jak i amerykański, a więc błąd światowy, ciążący na naszej epoce." Przyczyny widział w panoszącym się wszędzie "pragnieniu używania przyjemności życiowych i nadawaniu im takiego autorytetu, że stworzyło ono warstwę społeczną, żyjącą w pogoni za zyskiem i przyjemnościami, która choć nigdzie nie reprezentowała całości narodu, rozporządzała jednak wielką potęgą pieniądza i narzuciła mniej lub więcej, jeśli nie obyczaje, to przynajmniej swój sposób myślenia."

KULT ŻYCIA BEZ TRUDÓW.

Historyk ów ma rację, jeżeli w sposobie życia z dnia na dzień, który stawał się co raz bardziej charakterystyczną cechą pewnych zamożnych i kierowniczych warstw społeczeństwa, widzi jedną z głównych przyczyn zła w przedwojennej epoce. Do ustawicznego zachowywania w żywej pamięci nauk, płynących z przeszłości, potrzeba wysiłku, którego konieczności nie widzi człowiek żyjący tylko chwilą bieżącą i nie chcący jej sobie mącić troską o przyszłość. W ten sposób ginęły stopniowo zmysł i zrozumienie dla ciągłości historycznej i tradycji. Zapanował natomiast interes bezpośredni i natychmiastowy, a razem z nim snobizm i zmienność mody, kult namiętności oraz zepsucie obyczajów. Poczęto przeczyć tradycji i tłomaczyć, że nastały nowe czasy i nowe obyczaje. A przecież czas sam w sobie jest niczym i my dopiero nadajemy mu treść przez naszą działalność, przez nasze czyny. Pogarda dla tradycji i doświadczeń przeszłości i dla płynących z nich nauk mści się straszliwie, gdyż każda teraźniejszość jest dziełem przeszłości, a człowiek myślący na każdym kroku stwierdzić może, jak dalece przeszłość jest teraźniejszością, a teraźniejszość przeszłością.

Zdobycze techniczne i cywilizacyjne, które tak oszałamiające poczyniły postępy w ostatnich latach, nie wyszły ludzkości na dobre, gdyż prawdziwa kultura nie tylko nie dotrzymała im kroku, ale raczej wskutek ogólnej gonitwy za przyjemnościami cofać się zaczęła co raz więcej.

GRZECH PAKTOWANIA Z NIEMCAMI I IDEOLOGIĄ TOTALISTYCZNĄ.

Znany filozof Bergson napisał, że największy błąd, jaki popełnić może mąż stanu, polega na zmianie tego, co powinno było pozostać.

Niezmienne na zawsze powinny w Polsce pozostać idee wypływające z doświadczeń wiekowych i z ducha dziejów Polski. Taką prawdą dziejową jest, że Polska wykuwała swoją przyszłość od zarania swego istnienia w walce z Niemcami, ponieważ jedną z podstawowych idei niemieckich jest parcie na Wschód. Zawsze, gdy w Polsce panowała świadomość niebezpieczeństwa niemieckiego, Polska rosła w potęgę i spełniała dobrze swoją misję dziejową. Wśród wszystkich narodów zagrożonych niebezpieczeństwem niemieckim Polska powinna przeto poszukiwać naturalnych swoich sprzymierzeńców.

Naród polski jest narodem katolickim. Fundamentalną przeto prawdą jest, że w nauce katolickiej i w spełnianiu jej nakazów szukać powinien środków do pomnożenia i rozwoju swoich sił duchowych, a *nauka katolicka przeciwna jest wszelkim systemom totalnym jako systemom gwałtu. Poszanowanie godności człowieka więc i wprowadzanie w życie sprawiedliwości społecznej w stosunku do mas robotniczych i do upośledzonego przez wieki chłopa polskiego powinno należeć do naczelnych nakazów polskiej polityki.*

Jak dalece zaś ludzie obozu, który w maju r. 1926 zdobył władzę w Polsce, zlekceważyli doświadczenia i nauki historii, i jak dalece żyli dla chwili i przechodzili do porządku dziennego nad tradycjami Narodu i zasadami Katolicyzmu, o tym mówił w słowach pełnych największej oględności i umiaru, ale zarazem dostatecznie wyraźnych, sam Biskup Armii polskiej w kazaniu wygłoszonym w kościele polskim w Londynie w dwudziestą rocznicę zwycięstwa, odniesionego pod Warszawą nad armią sowiecką przez zjednoczony zewnętrznie i wewnętrznie Naród. Błędy polityczne tego obozu znamy wszyscy i czujemy ich skutki.

TOTALIZM—NAJWIĘKSZE ZŁO NASZEGO CZASU.

Cofanie się kultury, lekceważenie doświadczeń i nauk historii oraz zasad moralnych ujawniło się najdobitniej w totaliźmie, który opanował narody niemiecki, rosyjski i włoski, i w jego metodach gwałtu. Nie ma przecież zbrodni, przed którą cofnęłyby się państwa totalne, jeżeli w tym widzą swój interes. Głębokie muszą być przyczyny, które doprowadziły do tego, że w tak oświeconym rzekomo wieku XX-ym bestia w ludzkim ciele rozszalała się do takiego stopnia jak tego przykładów dostarczają rządy niemieckie, szczególnie na ziemiach polskich. Jak fałszywe muszą być idee, które ogarnąwszy naród niemiecki, pchają go w całkowitym zaślepieniu na drogę tylu potwornych zbrodni, popełnianych na jednostkach i narodach całych w imię totalizmu i jego interesów, które stawia się ponad wszelkie powszechnie uznane zasady etyczne. Stwierdzając fakt ten, mamy z jednej strony obowiązek zrobienia wszystkiego, by nie dopuścić do powtórzenia się obecnej tragedii europejskiej w przyszłości, z drugiej strony mamy obowiązek powiedzenia także sobie szczerze, że narody, które padły ofiarą tych zbrodni, musiały wejść mniej lub więcej na drogi błędne, skoro nie zdawały sobie sprawy z nadchodzącej katastrofy, choć wszystko ją przepowiadało!

Cierpienia, które spadły na Europę, nie będą daremne, jeżeli przyczynią się do jej uzdrowienia. Cel ten przyświeca wszystkim, którzy pragną, by Europę odbudowano po wojnie na nowych podstawach z pełnym uwzględnieniem zasad sprawiedliwości i nabytych doświadczeń.

NARÓD POLSKI—MORALNYM ODRODZICIELEM EUROPY.

Nikt nie przeczy dziś, że wśród narodów, które w krwawej walce przeciw napastnikowi złożyły w rozstrzygającej chwili czynem ofiarnym dowody wielkiej moralnej wartości, Naród polski zajmuje czołowe miejsce. Społeczeństwo polskie wykazało bowiem, że obok narodu angielskiego jest najmniej zarażone tą "chorobą nowoczesną," jaka stępiła wzrok duchowy i siły moralne pewnych warstw i zachęciła wodzów totalizmu do próby zaprowadzenia "ładu" niemieckiego w Europie. Choć większość tych, którzy Narodowi polskiemu narzucili się na kierowników, nie zdała egzaminu, Naród mimo to walczył, nie oglądając się na nich, i walczy dotychczas dalej w Polsce i przelewa także krew na każdym nowym polu walki, wykazując światu, że posiada ideały, które wyżej ceni, niż życie. Tym samym Naród polski składa dowody, że może się stać jednym z wielkich i ważnych czynników odrodzenia moralnego Europy. Misja nasza na Emigracji polega dziś na utwierdzeniu tego przekonania w świecie.

Mimo że na obecnej Emigracji jesteśmy tylko małą stosunkowo cząstką Narodu i czyny nasze, choćby największe, będą w naszym poczuciu tylko ułamkiem tego, czego dokonał Naród cały w krwawym, ustawicznym wysiłku, to jednak wśród Anglo-sasów, prowadzących dziś główny i rozstrzygający bój z Niemcami, reprezentujemy dziś cały Naród polski, nie tylko wszystkie Jego cierpienia i ofiary poniesione dla wolności i wspólnych ideałów, ale także Jego prawa i Jego wszystkie aspiracje i nadzieje. Oto wielkość naszego zadania i naszej misji, a zarazem ogromna nasza odpowiedzialność.

ARMIA JEST ŚWIADOMA MISJI NARODOWEJ

W poczuciu tej odpowiedzialności członkowie cywilnej naszej reprezentacji udali się niedawno do obozu armii polskiej w najlepszej chęci dodania ducha, jeżeli by tego było potrzeba, i zwiększenia świadomości, jak wielkim celom wszystkimi siłami w jedności i zgodzie dziś nam służyć trzeba. Po powrocie powiedzieli nam na mocy tego, co widzieli, i stwierdzili, że nie nam ducha dodawać Armii, ale raczej na odwrót od Niej przykład brać należy i krzepić się Jej postawą, bo wśród żołnierzy panuje zapał, wiara i pogotowie do stawienia czoła wszelkim przeciwnościom—aż do zwycięstwa.

Jeżeli wypadki francuskie mogły przygnębić niejednego i jeżeli serdecznie bolejemy wszyscy nad losem narodu francuskiego i współczujemy z nim, to w wspaniałym nastroju narodu angielskiego i jego woli zwycięstwa odnaleźliśmy bratnie dusze i pogotowie radosne do czynu i wysiłku. Duch braterstwa, jedności i łączności, jaki wychowuje wspólna dola i wspólność celów w żołnierzu i jaki panuje w Armii polskiej, oraz męski spokój, hart i wola niezłomna, jaką okazuje także Wielka Brytania, są dla nas gwarancją, że w pełnieniu naszej wielkiej misji na dobrej jesteśmy drodze.

RAMIĘ W RAMIĘ Z WIELKĄ BRYTANIĄ.

Przemówienia angielskich mężów stanu dowodzą, że Naród angielski widzi jasno przyczyny zła i ogrom spustoszeń moralnych, jakie dyktatorzy pragnęliby wyzyskać dla osiągnięcia diabelskich swych celów. Min. Lord Halifax wzywał przeto w imię wypróbowanych ideałów chrześcijańskich i dla uzdrowienia świata od trawiącego go zła do krucjaty przeciw antychrystowi, a premier Winston Churchill oświadczył, że właśnie walka, wymagająca natężenia wszystkich sił, odpowiada geniuszowi Narodu angielskiego, który należy do najwięcej zwartych narodów w świecie.

Tylko głębokie zrozumienie ideałów moralnych może wytworzyć zwartość narodu i pogotowie do największego wysiłku. Montesquieu pisał o Rzymianach, że umieli sobie przyswajać wszystko dobre, co widzieli u innych narodów, wzbogacając przez to swą indywidualność, co im ułatwiło zdobycie świata. Chcąc wskrzesić nową Polskę, wielką i potężną, czerpmy wzorem Rzymian z doświadczeń i wzorów tego narodu, który jako wierny nasz sojusznik walczy wespół z nami o zwycięstwo ideałów godnych człowieka i o nową organizację ludzkości, która zapewniłaby jej szczęśliwszą dolę.

"WOLNI Z WOLNYMI."

Misja Polski odnosi się przede wszystkim do środkowej Europy. Mniejsze państwa, sąsiadujące z Polską, poznały po smutnych doświadczeniach, że los ich jest złączony z losem Polski na życie i śmierć. Sfederowana na nowych podstawach Europa, jaką ma w programie Wielka Brytania, będzie wymagała w środkowej Europie federacji, związku państw, opartych o Polskę rządną i demokratyczną i uznającą staropolską zasadę: wolni z wolnymi, równi z równymi.

Rozumiejąc więc w pełni nasze zadania wobec własnego Narodu, Słowiańszczyzny i całej ludzkości, mimo piętrzących się trudności patrzmy śmiało w przyszłość, z wiarą w Boga, z wiarą w Naród polski, z wiarą w ludzi, którzy podzielają nasze ideały, i z wiarą w siebie.

Michał Kwiatkowski

Cele wojny

Od pierwszych dni tej tragedii, którą przeżywamy toczy się w angielskiej prasie, w angielskiej literaturze dyskusja o celach wojny, dyskusja tak szeroka i tak zasadnicza, jak w żadnym innym z krajów wojujących.

Nic w tym dziwnego. Dla nas wojna i walka z Niemcami wogóle nie były zagadnieniem. Byliśmy napadnięci—musieliśmy się bronić. Kraj nasz został zdobyty—musimy walczyć, dopóki go nie odzyskamy. Na zachodzie natomiast zagadnienie przedstawiało się inaczej. Francja i Anglia nie były bezpośrednio napadnięte, chwyciły za broń, by wywiązać się z zobowiązań zaciągniętych wobec Polski. Przytem przez długie miesiące tej "*drôle de guerre*" na froncie zachodnim Hitler nie przestawał zapewniać, że niczego od Francji i Anglii nie żąda, że gotów jest każdej chwili zawrzeć pokój. Wobec Anglii powtórzył te zapewnienia pokojowe nawet jeszcze po upadku Francji. Zagadnienie więc, o co i dlaczego się właściwie walczy było i jest dla demokracji zachodnich zagadnieniem zasadniczym. We Francji cenzura, ta sama cenzura, która niesie znaczną część odpowiedzialności za załamanie się morale francuskiego, nie dopuszczała do poważnej dyskusji w tym względzie. W Wielkiej Brytanii natomiast przy swobodzie prasy dyskusja ta rozwinęła się niezwykle szeroko.

Co do samej zasady panuje tu zupełna jednozgodność. Sformułowanie Neville Chamberlaina w mowie z d. 24 sierpnia 1939, gdy szły jeszcze dyskusje o Gdańsk, pozostaje w mocy. Jeżeli mimo wszystko dojdzie do wojny, mówił ówczesny premier "to nie będziemy walczyć o przyszłość polityczną oddalonego miasta w obcym kraju; będziemy walczyć o utrzymanie zasad, o których mówiłem, a których obalenie pociągnęłoby za sobą zniszczenie wszystkich możliwości pokoju i bezpieczeństwa dla narodów świata."

I na tym samym posiedzeniu Ellen Wilkinson, lewa socjalistka, dziś wiceminister w rządzie Churchilla po gwałtownym ataku na dawną politykę Chamberlaina powiedziała: "Nadszedł czas dla ugrupowania ideologicznego. Ludzie nie będą walczyli za Bank Angielski, Montagu Normana i City londyńską, ale będą walczyli o coś, co uważają za warte walki."

Walka więc od pierwszej chwili została postawiona, jako walka ideologiczna, od pierwszej chwili powrócono do tej zasady, którą ogłosił Woodrow Wilson w chwili, gdy Ameryka weszła do poprzedniej wojny "*to make world safe for democracy*—dać bezpieczeństwo demokracji światowej." Jaką jednak treść podłożyć pod to pojęcie demokracji?

Leżą przede mną w tej chwili trzy książeczki, które starają się na to pytanie dać odpowiedź. Są to: *Why Freedom matters* ("Dlaczego swoboda jest ważna") Normana Angella oraz *The Rights of Man* ("Prawa człowieka") i *The Common sense of War and Peace* ("Zdrowy rozsądek wojny i pokoju") H. G. Wellsa. Jeżeli z istnej powodzi literatury na ten temat wybrałem te książeczki wybrałem do omówienia, to ze względu na charakter ich autorów. Norman Angell, laureat pokojowej nagrody Nobla, był najbardziej może czołowym pacyfistą przed wojną. Książka jego "Wielkie Złudzenie" była niejako biblią ruchu pacyfistycznego skierowanego przeciw wojnie. H. G. Wells zaś, również pacyfista, jest niewątpliwie jednym z wielkich pisarzy światowych i jednym z czołowych umysłów dzisiejszych. Poza tym wszystkie trzy książeczki wyszły w sześciopensowym wydaniu Penguina. To znaczy, że rozeszło się ich setki tysięcy egzemplarzy i że wpływ ich na opinię angielską jest niewątpliwy. (Wszystkie trzy książki wyszły przed upadkiem Francji, "Zdrowy rozsądek" Wellsa i książka Normana Angella już po zdradzie króla Belgów.)

Co przede wszystkim uderza, gdy się zna pacyfizm autorów, to to, że dla żadnego z nich nie ma wątpliwości, iż pierwszym celem wojny jest nie tylko zwycięstwo militarne, ale wprost zdruzgotanie Niemiec. Norman Angell stwierdza, że może istotnie nie wszyscy Niemcy są hitlerowcami, ale że w każdym razie te "lepsze Niemcy" są niezdolne do przeszkodzenia panowaniu gorszych. Jeżeli zaś tak jest (a może tak być) to jest to mocnym argumentem za tym, aby Niemcy były pod panowaniem jakiejś zewnętrznej siły do czasu kiedy "prawdziwe Niemcy" albo "lepsze Niemcy" nauczą się powstrzymywać swą zbrodniczą mniejszość.

Wells zaś pisze: "Myślę, że było to nieszczęściem dla całej ludzkości, iż, w 1918 roku nie zbombardowano porządnie Berlina, jak to można było zrobić. . . . *Niemcy muszą zobaczyć i poczuć sami, bohaterska jasnowłosa matka i bohaterski jasnowłosy chłopak, jutrzejszy nazi, muszą to poczuć na własnej skórze, co za wojnę robili i okaleczali w Polsce, na przykład. . . . O ile wojna nie przejdzie w fazę takiej jawnej klęski wewnątrz Niemiec, mało jest możliwości, by koniec wojny był czym innym jak pauzą dla odrodzenia i ponownego uzbrojenia Niemiec.*"

To rozbicie Niemiec nie oznacza jednak ani dla Angella, ani dla Wellsa powrotu do stanu poprzedniego. I jeden i drugi są przekonani, że konieczną będzie jakaś światowa organizacja, jakiś związek państw, federacja, ażeby uniemożliwić powrót wojen (choć Wells do samego słowa "federacja" odnosi się niechętnie.) I jeden i drugi żądają też głęboko sięgających reform budowy społecznej.

Co jednak jest najistotniejsze to to, że i jeden i drugi widzą centralne zagadnienie w wolności jednostki. Walka z hitleryzmem jest dla nich walką z tyranią, walką z niewolnictwem. Właśnie dla tego, że zarówno hitleryzm, jak faszyzm, jak bolszewizm likwidują te zdobycze Wielkiej Rewolucji Francuskiej, które pod koniec XIX wieku, a bardziej jeszcze w wieku XX zdawały się stałymi zdobyczami ludzkości—i Norman Angell i Wells kładą główny nacisk na niemożliwość rozwoju cywilizacji, o ile prawa jednostki do wszechstronnego rozwoju, prawa wolnej myśli, wolnej dyskusji, nie będą zagwarantowane. Krytykom z lewej strony, którzy twierdzą, że wolność polityczna jest bez znaczenia, póki nie ma wolności gospodarczej, że hasła wolnościowe są "bronią, której kapitalizm używa w walce klasowej, częścią tej" ideologii burżuazyjnej "którą socjalizm musi zniszczyć"—Norman Angell odpowiada, że "swoboda polityczna i duchowa nie jest wrogiem swobody gospodarczej, ale koniecznym środkiem jej osiągnięcia, nie są to wzajemnie wykluczające się możliwości, ale wzajem od siebie zależne warunki powodzenia każdej z nich."

A w deklaracji praw człowieka, którą Wells ułożył z przyjaciółmi czytamy na pierwszym miejscu: "*Każdy jest współspadkobiercą wszystkich bogactw naturalnych i potęg, wynalazków i możliwości nagromadzonych przez naszych poprzedników. Każdy ma prawo w miarę tych zasobów i bez różnicy rasy, koloru, ani też wiary i poglądów, jakie wyznaje, do pokarmu, mieszkania i opieki lekarskiej, której potrzebuje dla urzeczywistnienia wszystkich swych możliwości rozwoju fizycznego i umysłowego od kolebki do grobu.*"

Faszyzmy—czerwony, czarny i bronzowy — zaprzeczają tym prawom człowieka. Dla nich istnieje tylko prawo państwa, co w rzeczywistości sprowadza się do prawa drobnej grupki, która zagarnęła władzę w ręce, prawa jak pisze Norman Angell: "bandy neurasteników, fanatyków i zbrodniarzy."

Faszyzmy są niebezpieczeństwem nie tylko zewnętrznym, ale i wewnętrznym. Zdrady Quislingów, Leopoldów, Lavalów aż zbyt wyraźnie wskazują, że Hitler znajduje sprzymierzeńców nawet wsród narodów napadniętych w imię walki z wolnością ludzką.

Wojna dzisiejsza jest wojną religijną. Jest wojną o wolność ludzką i godność człowieczeństwa.

Czesław Poznański

Szkic sytuacji

W mowie wygłoszonej dnia 20 sierpnia w Izbie Gmin wskazał Winston Churchill pomyślne znaki w rozwoju sytuacji powietrznej, na podstawie wyników nalotów niemieckich, zapowiedział przygotowanie kampanii na r. 1941 i 1942, podkreślił, że blokada brytyjska będzie utrzymana i wzmocniona, stwierdził, że wojna obecna tak różna od ostatniej, odpowiada charakterowi i geniuszowi narodu angielskiego.

Postarajmy się w kilku liniach nakreślić szkic sytuacji na różnych terenach wojny—od brzegów Anglii aż po Afrykę.

WALKI POWIETRZNE

Od początku wojny obecnej było jasne, że lotnictwo odegra w niej nader ważką rolę. Przewaga lotnicza, którą objawiała Rzesza niemiecka w stosunku do innych państw sprawiła, iż niejeden obserwator skłonny był twierdzić, że lotnictwo samo wygra wojnę. Dotychczasowe działania nie potwierdzają tej teorii: wszędzie, gdzie uderzała armia niemiecka, lotnictwo poza opanowaniem przestrzeni powietrznej *Luftraum* było czołem ataku, przygotowywało teren, tworzyło straż przednią dla uderzenia czołgów. Armia niemiecka ćwiczyła się od lat w współdziałaniu samolotu, czołgu i piechoty.

Wynika z tego logicznie, że jeżeli chodzi o wyspy brytyjskie, zadanie, które stoi przed sztabem niemieckim jest nowe. Zastosować można wobec Anglii metody, jakich używało się w Norwegii; sposoby stosowane Polsce, w Holandii, Belgii i Francji nie mogą być żywcem przeniesione do Anglii. Rzesza powinna zasadniczo dążyć wszelkimi siłami do najazdu na Anglię, ażeby zastosować wypróbowaną już współpracę trzech broni. Ba, kiedy tego rodzaju najazd nie da się porównać z operacją w Norwegii. Jest flota angielska, jest morze usiane minami, jest lotnictwo brytyjskie, są urządzenia obronne wzdłuż całego pobrzeża, jest 1,250,000 żołnierzy na wyspie i 1,500,000 tzw. *Home Guard*, czyli straży narodowej.

Najazd byłby dla Niemiec najlepszym rozwiązaniem, ale jest zbyt ryzykowny. Pozostaje zatem wynalezienie jakiegoś nowego sposobu, gdzie zespoli się takie czynniki jak: lotnictwo bombardujące w nalotach masowych, ogień dział dalekonośnych z brzegu francuskiego, akcja spadochroniarzy. Ale i wtedy jeszcze nie rozwiązuje się zagadnienia, które może być rozstrzygnięte tylko przez pełną inwazję.

Z tego powodu niejeden obserwator dochodzi do wniosku, że uderzenie na Anglię jest zbyt dla Rzeszy kosztowne i że dlatego naczelna komenda niemiecka zaniecha tego zadania a przejdzie do akcji tam, gdzie jest to łatwiejsze: w stronę Turcji, ku wiązaniom Imperium, jak Gibraltar, Suez (akcja włoska).

Walki powietrzne, które toczą się nad Anglią dowodzą, że obrona angielska jest zawzięta, że straty niemieckie zarówno w maszynach, jak ludziach są poważne i że szkody, jakie Niemcy starają się wyrządzić są stosunkowo nieznaczne. Pościgowce angielskie dają sobie radę nawet z nowymi typami samolotów niemieckich jak n.p. bombowiec-pościgowiec Messerschmitt-Jaguar, biją dalej nieprzyjaciela szybkością, przeszkolenie pilotów brytyjskich jest staranniejsze.

Anglicy, którzy z zasady swojej są skromni i nauczyli się oceniać sytuację chłodno oraz krytycznie, nie tają równocześnie, że stoimy dopiero u wstępu wielkiej akcji powietrznej i że nie należy dać się ponosić nadmiarowi optymizmu. Przewidują oni zarówno wzmocnienie masowości ataków nieprzyjacielskich, jak i bombardowanie, gdzie popadnie (*indiscriminate bombing*), przy którym cierpi ludność cywilna. Bierze się również pod uwagę możliwość bombardowania nocnego, do czego Niemcy zdają się przygotowywać przez trenowanie lotów nocnych nad Anglią. Dotychczas Rzesza nie posiadała pilotów do lotów nocnych: występowała do walki w dzień tak ufna w swoją przewagę powietrzną, iż nie usiłowała zmniejszyć nawet ryzyka dla swoich maszyn i załóg przez atakowanie w nocy. Anglicy natomiast, którzy stosują zasadę oszczędności zarówno w maszynach jak ludziach, bombardują przeważnie w nocy, zarówno Rzeszę, jak ziemie przez Niemców zajęte. Wyniki jakie osiągają są dobre, albowiem operują oni doborowymi stawkami lotników, długą znajomością terenu, przepatrywanego od września r. ub. i dokładnością bombardowania. Wyniki jakie osiąga w tych nalotach lotnictwo brytyjskie są dobre; bombarduje się co raz nowe obiekty (jak fabryki benzyny syntetycznej w Leuna), sięga się co raz dalej, atakuje co raz gwałtowniej. Dowodem, że naloty angielskie są skuteczne jest zmiana w systemie niemieckiej OPL nakazana niedawno przez władze centralne. Dotychczasowe normy okazały się niedostateczne.

Sprawa ataków na Anglię dałaby się streścić w takich oto słowach: jak długo Niemcy będą prowadzić bombardowania masowe, czyli—czy są gotowi poświęcić w atakach na Anglię kilka tysięcy maszyn dla przygotowania inwazji, stworzenia dla niej podatnego gruntu? Czy ataki niemieckie zdołają wyrwać szczerby w szeregach pościgowców brytyjskich i całej obrony powietrznej?

Oto pytania, które rozstrzygną najbliższe tygodnie. O ile na pierwsze pytanie odpowiedź brzmi: raczej tak (Rzesza nie liczy się ani z maszynami ani z materiałem ludzkim), to odpowiedź na drugie pytanie brzmieć będzie: nie.

Wniosek: próby najazdu będą straszliwie kosztowne.

BLOKADA

Anglia ogłosiła blokadę całego kontynentu europejskiego, Rzesza parę dni temu wystąpiła z teatralnym twierdzeniem, że blokuje Anglię.

Jaka jest wartość blokady?

W wojnie światowej blokada była bronią potężną, ale bynajmniej nie samodzielną: działała w zespole z innymi czynnikami wojennymi. Blokada sama przez się nie może pokonać nieprzyjaciela, pomijając już to, że stanowi broń na bardzo daleki dystans. W wojnie obecnej blokada wydaje się mniej skuteczna, aniżeli w poprzedniej z tego powodu, że obszary zajęte przez Rzeszę, a zawierające potrzebne do prowadzenia wojny surowce, są większe. Ponadto Rzesza może korzystać z surowców krajów w wielkiej mierze sobie poddanych, jak Rumunia czy nawet Szwecja.

Rzesza posiada dzisiaj najważniejszy niedobór w ropie, albowiem stali ma więcej, aniżeli jej potrzeba. Niedoboru tego nie zaspokoi Rumunia, Rosja nie jest chętna do oddawania ropy, której sama nie ma za wiele. Rzesza pochwyciła wielkie zapasy ropy w Norwegii, Danii, Holandii i Francji. Ale przy rozległych działaniach lotniczych i przy bombardowaniu przez Anglików zbiorników ropy w Rzeszy i na terenach zajętych przez Rzeszę, nie starczy i tego.

Na razie blokada nie może dać nadmiernych wyników poza tym, że w każdej blokadzie znajdą się luki. Istniały one dotychczas (Władywostok, Hiszpania), są i teraz (wody północne koło Grenlandii). Blokada kontynentu Europy jest zadaniem, jakiego jeszcze nigdy na prawdę nie przeprowadzono. Nie wiemy zatem, jakie będzie jej realne znaczenie i działanie. W najlepszym razie nie może być ono szybkie—trzy lata to jest dopiero okres, po którym blokadę odczuwa się na dobre.

AFRYKA

Działania w Afryce są rzeczą wielkiej wagi dla Imperium Brytyjskiego. Aden i Suez są punktami, które w maszynie Imperium spełniają rolę całkiem osobliwą. Opuszczenie Somali przyjęto w Anglii z zaniepokojeniem i troską. Teoria, że obszar ten nie stanowi wielkiej wartości i że jest to jeszcze jeden dodatek do zbioru pustyń, jakie zgarnia Mussolini, nie wytrzymuje poważnej krytyki. Tego rodzaju lekkomyślność—rzecz ciekawa, że uprawiana częściej przez obcych obserwatorów w Anglii, aniżeli przez świadomych rzeczy Anglików—powinna być raz na zawsze przegnana z poważnej oceny sytuacji.

Nie jest obojętne zajęcie Somali, albowiem odsłania to niebezpiecznie Aden. Nie jest obojętne, że flocie brytyjskiej i lotnictwu angielskiemu przybywają nowe zadania i że trzeba będzie bombardować z powietrza bazy—dotychczas własne. Nie jest obojętny fakt, że w Afryce istnieją luki i że stan liczebny armii angielskiej w różnych strefach Afryki jest niedostateczny. Nie możemy spokojnie pominąć faktu, że pogotowie włoskie na pograniczu Egiptu jest znaczne i że sami Anglicy przyznają, iż siły zbrojne ich na granicy Libii są—"zdystansowane liczebnie przez Włochów." Wolelibyśmy, ażeby Anglicy nie czekali na atak na Egipt, ale sami atakowali Libię, wolelibyśmy, ażeby Abisynia już poczuła uderzenie angielskie i ażeby Kenia i Sudan miały większe stawki żołnierza.

Zarówno wyprawa włoska na Abisynię, jak marsz w Somali wykazał, że Afryka nałamuje się jakoś i nagina do nowoczesnych metod walki. Samolot włoski odegrał rolę w podboju Abisynii; okazał się bardzo szybki, nadspodziewanie szybki—niestety, nie wyciągnięto z tego faktu odpowiedniego wniosku. Sądzono bowiem, że wojny kolonialne muszą trwać latami, jak się to działo dawniej. Zdaje się, że tego rodzaju rozumowanie straciło dzisiaj wagę.

Czołg nadaje się może lepiej do działań na pustyni, aniżeli myślano; jest napewno szybszy, aniżeli wielbłąd, samolot może bombardować w Afryce z dużym powodzeniem przy doskonałej widzialności obiektów. To są wszystko fakty, które sprawiają, że kampania afrykańska nie może być brana lekko i że pojawiają się w niej czynniki, z którymi zachowacza myśl wojskowa niedostatecznie się liczyła.

Anglia musi utrzymać swoje posiadłości afrykańskie, musi przede wszystkim utrzymać Aden i Suez. Musi także baczyć pilnie na Gibraltar, pod który Niemcy wysuwają Hiszpanów. Nie wolno nam w tych sprawach machać ręką na straty, ewakuacje ich znaczenie i sens—albowiem wszystkie czynniki wiążą się z sobą i dają pewien obraz, zwany sytuacją.

Zbigniew Grabowski

Polsko-angielskie związki kulturalne

TRZY RODZAJE ZWIĄZKÓW

Trwałe i żywe stosunki kulturalne łączyły Polskę na przestrzeni wieków z Francją, Włochami i Niemcami. Wpływy włoskie wdziedzinie artystycznej w dobie Odrodzenia, czy związki religijne w okresie ruchów religijnych z Niemcami, przeniknęcie całej sfery życia kulturalnego przez potężny strumień wpływów francuskich za czasów Oświecenia—oto trzy dowolnie wybrane przykłady związków kulturalnych, które ogarniają zasięgiem swym cały, zamknięty okres rozwoju kulturalnego. Z tymi trzema krajami pozostawaliśmy w stałym związku przez okres Polski przedrozbiorowej.

Związki nasze z innymi krajami zachodnio—europejskimi mają już zasięg węższy. Czy weźmiemy pod uwagę stosunki religijne z Holandią w dobie reformacji, czy studia Polaków w uniwersytetach belgijskich lub szwajcarskich i to zarówno w XVI, jak i na przełomie XIX i XX wieku, czy wpływy malarstwa flamandzkiego na Polskę—zawsze będą to związki o zasięgu dość ograniczonym, nie ogarniające całej dziedziny życia kulturalnego, obejmujące najwyżej pewne warstwy społeczne.

Inny będzie trzeci przykład związków kulturalnych, w których Polska występuje jako czynnik pobudzający, dający inicjatywę, w których mamy do czynienia z promieniowaniem kulturalnym Polski. Szerokie rozprzestrzenienie się kultury polskiej w wieku XVI i XVII nie tylko na Ukrainie, Litwie, ale promieniowanie jej na Rumunię, Rosję, które stoją pod przemożnym urokiem jej oddziaływania—oto jeden z przykładów siły przyciągającej kultury polskiej. Mimo utraty w XIX wieku własnej państwowości kultura polska w dalszym ciągu wykazuje prężność i zdolność wpływania na inne narody. Jej udział będzie znaczący w kształtowaniu myśli i czynu politycznego nowoczesnych Włoch, Węgier, przez celowe oddziaływanie dalekosiężnej myśli Księcia Adama Czartoryskiego, zaważy potężnie na wytworzeniu nowoczesnej świadomości narodowej Bułgarii, potrosze Rumunii, wkroczy nawet na daleki Kaukaz.

SZCZEGÓLNOŚĆ ZWIĄZKÓW POLSKO-ANGIELSKICH

Całkowicie poza obrębem tych rodzajów związków kulturalnych stoją nasze stosunki z krajami tak od nas odległymi jak Hiszpania, państwa skandynawskie i Anglia. Oddalenie, a zwłaszcza w przypadku Anglii, przedział jaki wytwarza morze, sprawiły, że związki te są raczej dorywcze, mniej trwałe, mniej intensywne w swym natężeniu. Morze było niestety odczuwaniu naszemu przez cały ciąg dziejów aż do bodaj roku 1918, na ogół dalekie, obce, byliśmy narodem na wskroś lądowym, stąd z natury rzeczy sfera naszych związków z Anglią musiała być uboższa. Nie przeszkodziło to jednak temu dziwnemu paradoksowi, że największy piewca morza w Anglii w XIX wieku Conrad—Korzeniowski był Polakiem z pochodzenia.

Dziś nowe warunki rzeczywistości, łączące nas z Anglią, nadają rumieńców życia dawnym faktom współżycia kulturalnego polsko-angielskiego. Biorąc studium prof. Kota p.t. "Anglo-Polonica. Angielskie źródła rękopiśmienne do dziejów stosunków kulturalnych Polski z Anglią," które jest w tej chwili właściwie jedynem opracowaniem interesującego nas tu zagadnienia—za przewodnika, przypatrzmy się teraz poszczególnym fazom kształtowania tych stosunków.

WIEKI ŚREDNIE

Stosunkowo nikłe są te związki w dobie średniowiecza. Ograniczają się one właściwie do rękopisów pochodzących z ziem polskich a przechowywanych w zbiorach angielskich. Zarówno archiwa w Cambridge, jak w Oxfordzie—dwu sławnych uniwersytetów angielskich — zawierają rękopisy treści historycznej, medycznej, zbiory kazań pochodzenia polskiego. Znajdziemy wśród nich odpisy traktatu Pawła Włodkowica wymierzonego przeciwko Krzyżakom, są tu traktaty Uniwersytetu Jagiellońskiego na sobór bazylejski, jak również tablice astronomiczne profesora krakowskiego Wojciecha z Brudzewa. Drobne to, ale wymowne dowody międzynarodowej roli wszechnicy krakowskiej w okresie jej świetności.

Po dynastii Jagiellonów zachowały się w zbiorach angielskich cztery bardzo ciekawe z punktu widzenia historii sztuki modlitewniki królewskie Władysława Warneńczyka, Aleksandra Jagiellończyka, Zygmunta I i Bony. Wykonane niezwykle pięknie pod względem artystycznym pokazały one na terenie angielskim szereg czysto rodzimych motywów polskich, zwłaszcza w szacie ilustracyjnej.

POSŁOWIE, PODRÓŻNICY I LISTY MIĘDZY POLSKĄ A ANGLIĄ

Wiek XVI, zwłaszcza okres rządów Batorego, mnoży i zacieśnia tę ubogą dotąd sferę stosunków kulturalnych. Już Zygmunt Stary i jego kanclerz Krzysztof Szydłowiecki świadomie i celowo zabiegają o nawiązanie stosunków z Anglią, pozostając w korespondencji z Henrykiem VIII i jego kanclerzem Wolseyem. Szydłowiecki posyła królowi w darze sokoły, Wolseyowi dziękuje za dobre przyjęcie dworzan polskich. Zjawiają się na angielskim dworze królewskim nasi posłowie, takim jest np. Stanisław Lassota, poseł Zygmunta Starego, który objawiał już zainteresowania podróżnicze. Rządy Edwarda VI przynoszące w Anglii wzmożenie wpływów protestanckich raczej osłabiły związki obu dworów królewskich. Były one zato żywe z Albrechtem księciem pruskim, lennikiem Polski.

Wstąpienie na tron Marii Tudor, zwolenniczki katolicyzmu i Habsburgów znów przynosi ożywienie stosunków z dworem polskim. Liczni jego posłowie zjawiają się w Anglii. Leonard Gorecki, który przybył do Anglii z jasno określonymi celami turystycznymi, ogłasza w 1554 w Londynie panegiryczną mowę na cześć zaślubin Marii z Filipem hiszpańskim, Bona wysyła z życzeniami i darami weselnymi dla Marii umyślnego posła Jana Pappacoda. W 1555 zjawia się w Anglii poseł Wojciech Krzyski z darami królewskimi na spodziewane urodziny potomka Marii Tudor. Maria Tudor prowadziła ożywioną korespondencję z Boną, z Zygmuntem Augustem, żoną Zygmunta Augusta Katarzyną. Korespondencja ta pozostawała w dużej mierze w związku z interesami handlowymi kupców angielskich w Gdańsku i na Litwie. Za rządów Marii pojawiają się w Anglii dość licznie młodzi panicze polscy, których pociągać zaczyna daleka, nieznana, różniąca się wszystkim od kontynentu wyspa. List królewskiej pary angielskiej z 1557 poleca najgoręcej takiego podróżnika Walentego Siekierzyńskiego, niezwykle gorąco podkreślając jego pasję i zamiłowania turystyczne.

POLAK REFORMUJE KOŚCIÓŁ ANGLIKAŃSKI

Od tych przelotnych ptaków na gruncie angielskim odcina się charakterem działalności, jak i głębokością wywartego wpływu praca reformatora religijnego Jana Łaskiego. Prymas Tomasz Cranmer, przeprowadzający za Edwarda VI oddzielenie kościoła angielskiego od Rzymu dwukrotnie dawał inicjatywę do ściągnięcia Łaskiego. W latach 1548-1549 opracował Łaski plan ogólny reformy, potem bawił po raz drugi w Londynie od lat 1550 do 1553 już jako obywatel angielski i zwierzchnik kościołów cudzoziemskich. Łaski dzięki swym zaletom osobistym, swej wiedzy i charakterowi cieszył się w Anglii, wielkim poważaniem. Według kompetentnego sądu historyka reformacji "jego rola w kształtowaniu podwalin angielskiego życia kościelnego była pierwszorzędna. Zaprzyjaźniony z prymasem w niejednym przezeń wpłynął na urządzenie kościoła oficjalnego." Działalność Jana Łaskiego w Anglii to nie tylko dość wyjątkowy przykład związków bardzo głęboko sięgających, ale także objaw wkładu Polski w tak istotną dziedzinę życia kulturalnego Anglii, jak ideologia i organizacja życia kościelnego.

ANGLICY PROWADZĄ HANDEL Z POLSKĄ

W okresie rządów Batorego zacieśniają się bardzo stosunki angielsko-polskie zarówno polityczne, jak handlowe. Obie strony przywiązują do tego dużą wagę: ze strony Polski pracuje w tym kierunku król i Jan Zamojski, ze strony angielskiej królowa Elżbieta dba bardzo o podtrzymanie tej przyjaźni i to zarówno ze względu na antyhabsburskie nastawienie polityki Polski, jak i może jeszcze więcej z uwagi na co raz bardziej zacieśniające się stosunki handlowe. Kupcy angielscy często szukają terenów zbytu dla swych towarów w krajach nadbałtyckich, sprowadzają do Anglii polskie produkty rolne i leśne. W osobie królowej Elżbiety znajdują wytrwałą i niezmordowaną rzeczniczkę swych interesów wobec dworu i władz polskich. Teraz zaczyna dochodzić do największego natężenia napływ Szkotów do Polski, której początki sięgają czasów Zygmunta Augusta.

SZKOCI EMIGROWALI DO NAS WCZEŚNIEJ, NIŻ MY DO NICH

Emigracja masowa Szkotów z Anglii wywołana była w pewnych momentach nie tylko złymi warunkami gospodarczymi, ale także prześladowaniami religijnymi. Za Marii Stuart opuszczali kraj purytanie, za Elżbiety—katolicy. Elżbieta jednak mając na oku głównie poparcie handlu angielskiego i pokonanie rywalizującej niemieckiej Hanzy uciekała się często do pomocy Szkotów osiadłych na kontynencie w pracy dla rozwoju handlu angielskiego. Liczba Szkotów w Polsce była bardzo znaczna. Niektórzy z nich bogacili się na handlu. Odegrali pewną rolę i w życiu umysłowym Polski. W literaturze łacińsko-polskiej z Szkotów zapisał się Loechius, wybitniejszy był jednak przyrodnik i historyk Jan Jonston, rozwijający swą działalność naukową w promieniach opiekuństwa wielkopolskiej rodziny Leszczyńskich. Głównym źródłem dochodów Szkotów było nie kupiectwo, lecz domokrąstwo: w tobole na własnym ramieniu albo na koniu rozwozili oni po Polsce swe wyroby. W XVIII wieku liczba ich gwałtownie zmniejszyła się w związku z pogarszającymi się warunkami gospodarczymi kraju. Duża ilość Szkotów zasiliła szeregi polskiego mieszczaństwa w Lublinie, Zamościu, Lubartowie, Krakowie, Tarnowie.

Batory, który reprezentował politykę silnej ręki wobec Gdańska, chętnie zezwala na utworzenie w Elblągu angielskiej kompanii handlowej złożonej głównie ze Szkotów. Była ona przedmiotem niezwykłej troskliwości królowej Elżbiety. Interesy kupców angielskich w Polsce zaczęły w tym czasie tak się rozrastać, że w 1584 r. Anglia pragnie uzyskać prawne zabezpieczenie swych obywateli w Polsce, w związku z czym Sejm wyznacza osobną komisję dla uregulowania tej sprawy. Wywiązuje się na tym tle obfita korespondencja między kanclerzem Walsinghamem a Zamojskim. Walsingham gorąco dziękuje Zamojskiemu za jego przychylne dla Anglii stanowisko i wyraża życzenie, aby przyjaźń anglo-polska na stałe się umocniła.

PIERWSZY ANGLOFIL POLSKI

Zamojski był na prawdę anglofilem, nie tylko był zwolennikiem przyjaźni politycznej angielsko-polskiej, ale także interesował się żywo życiem kulturalnym Anglii, śledząc jej wydawnictwa. Tak np. sekretarz Zamojskiego Maciej Piskorzewski prosi w roku 1600 Roberta Cecila o dostarczenie mu materiału o wybitnych angielskich mężach do przygotowywanej "Elogia Clarorum Virorum" (Pochwały znakomitych mężów). Gdy w 1600 r. ukazał się w Londynie katalog rękopisów bibiotecznych Thomasa Jamesa, filologa oksfordskiego, Zamojski zaczytuje się w nim, pisze do autora list z prośbą o rozmaite informacje o ulubionych pisarzach starożytnych, których rękopisy znajdują się w Anglii. Z drugiej zaś strony rząd angielski, jak świadczą raporty jego agentów i kupców, w pełni oceniał wagę stanowiska politycznego Zamojskiego, czujnie śledząc etapy poszczególnych jego posunięć politycznych.

PIERWSZY POLONOFIL ANGIELSKI

Z osobą Zamojskiego wiąże się działalność Szkota Williama Bruce, prawnika, publicysty, profesora Akademii Zamojskiej, agenta i dyplomaty angielskiego w Polsce. Bruce, katolik, prawdopodobnie z powodów natury religijnej opuścił ojczyznę i większość życia spędził na kontynencie. Będąc w 1591 r. profesorem prawa rzymskiego w uniwersytecie w Würzburgu zaprzyjaźnił się ze studiującą tam polską młodzieżą. Potem rzucił uniwersytet i brał udział w walkach z Turkami na Węgrzech. Stamtąd dostał się do Polski. Łączyła go serdeczna przyjaźń z panem Żywca Mikołajem Komorowskim. W Krakowie ogłasza broszurę uzasadniającą potrzebę ligi antytureckiej. W 1596 r. Bruce obejmuje stanowisko profesora prawa rzymskiego w Akademii Zamojskiej, wchodzi w krąg wpływów wielkiego hetmana, którego wiernym przyjacielem pozostanie do końca życia. Mimo świetnych warunków pracy w Zamościu, mimo gorącej sympatii kolegów nie czuł się tu Bruce dobrze, ustawicznie chorował. Opuszcza w 1597 r. Zamość, zahacza znów o Żywiec, cały czas go nowy okres wędrówek.

Jak przypuszcza Prof. Kot w tym to okresie opracował Bruce obszerny memoriał o stosunkach polityczno-społecznych Polski, przeznaczony dla dworu angielskiego, prawdopodobnie w związku z przyjazdem do Polski posła Carew. Przez kilka lat bawi Bruce naprzemian to w Polsce, to w Anglii. Wreszcie w 1606 r. zostaje urzędowym agentem angielskim w Polsce. Zamieszkawszy w Gdańsku zajmuje się gorliwie interesami kupców angielskich skupionych w kompanii handlowej w Elblągu. Jego raporty z tych lat są dowodem doskonałej znajomości spraw Polski. Przywiązany gorąco do rodziny Zamojskich stara się za pośrednictwem dworu angielskiego zabezpieczyć sytuację syna kanclerza, młodego Tomasza Zamojskiego. Bruce spędził większość swych lat dojrzałych w służbie Polski. Szczery i oddany przyjaciel Polski sprzągł swoje losy z osobą Zamojskiego, największego anglofila polskiego XVI wieku.

Adam Ordęga

NA SZKOCKIM ZAMKU

Wskazując na stary portret, mówił Sir Windham: majorze,
Oto mój przodek.—Był posłem przy duńskim królu i dworze.
Ów miecz—to miecz jego chwały, tam stoi kielich godowy,
Z którego tęgo popijał, gdy wracał zmęczony z łowów . . .
(Gdzież nasze szkliste kielichy? gdzie koncerz? gdzie jest tarcz wierna?
Pewnie w moskiewskim muzeum lub w Szwecji u Oxenstjörnów . . .)

Sir Windham powiódł do hallu, do ksiąg oprawnych w pergamin.
Mój dziad—rzekł—kochał się w księgach, lecz znał także z kulami.
W Indiach dla Wschodniej Kompanii ujarzmiał radżów Bengalu,
Przywiózł stamtąd ów anghar i tego Buddhę z koralu.
Umierał syty zaszczytów, czczigodna dziś jego pamięć!

Spłonęły w Styczniowym księgi, przez mego dziadka zebrane,
Z Węgier przywiózł włos siwy i niezgojone dwie rany.
Pamięć? Mój Boże! Wszak ojciec . . . czyż to pamięcią się zowie?
Zbudował mu grób ceglany na cmentarzyku w Sassowie.
(Wnuk nie mógł grobu odnaleść, choć pono na wzgórku leży
Lecz było to w czasie wojny, czas naglił . . . nie on go mierzył . . .)

Ów wnuk miał cenne dziedzictwo, cóż! prawa wojny niezłomne . . .
Zabrali Niemcy we wrześniu ową rodzinną Madonnę . . .
Został więc tylko żal szczery i czarka aluminiowa
Znaleziona w przemarszu, wśród zgliszczy Radziwiłłowa.
Rodzinę stracił w Bolszewii, a sam porwany zamiecią
W myśl słów piosenki żołnierskiej—poszedł się tułać po świecie.

Szlachetny lordzie Windhamie, jakbym cię pragnął ocalić
Przed losem bezdomnych ptaków, gdy gniazdo pożoga spali!
Słuchaj! We wdzięcznej odpłacie, zdradzę gdzie leży ów skarbiec,
Którego ogień nie ima, którego zbój nie zagarnie,
Lepiej strzeżony niż w zamkach ujętych w wieżyc korony,
Skąd patrzą wieki posępne brwiami złotymi zmarszczone,
Na cień swój marny, zamknięty na zawsze, w zamkowej sieni.
Słuchaj szlachetny Windhamie prawa wieczności ziemi:

Ziemio, ojczyzno najmilsza, nikt cię zagarnąć nie zdoła!
Nawet gdy z domów ruiny—zostaną rzeki i pola.
Nie zetrą gliny granaty, role traw siennych nie spłoną
Zawsze znów łzami ożywię próchnice skib opuszczonych.
Wiosny majowej nie trafi bomba płonąca z magnezu
I przekór działom półkopki słońce wyzłoci na miedzy.—
Wnet ścieżki nowe pobiegną przez rozstaj zdobiony krzyżem.
O czasie!—prędzej goń w milach! Mile! Nastawcie się bliżej . . .
Niech jeszcze ujrzą me oczy—granice objęte morzem
Tam była, tam jest, tam będzie
mej ziemi wieczystość boża . . .

Mieczysław Lisiewicz

Warszawa — wrzesień 1939

Rano szli ludzie do pracy skupieni w sobie, jakby każdy poczuł naokoło siebie wielką przestrzeń swego kraju. Tak ich widzę dziś jeszcze, ludzi naszej dzielnicy—szeroka ulica idzie pod górę, jakby wznosiła się jej pierś w chwili, gdy spotyka się z mostem. Nad wielkim placem, nad aleją wiodąca do Wisły niebo jest szerokie i pełne, miękkie od wiślanego oddechu, barwione słońcem i dalekimi obłokami—pod niebieską kopułą idą ludzie, idą pojedyńczo lub drobnymi grupami, śpieszą do pracy. Przystanek tramwajowy lub autobusowy skupia ich na chwilę, czekają niecierpliwie, potem ułożeni w tramwajowych skrzyniach z adresem im tylko wiadomym, jadą na miejsce swego przeznaczenia. W tych dniach było to istotnie miejsce przeznaczenia. Nikt nie wiedział, czy wróci wieczór, gdy rano szedł do pracy.

I nikt nie myślał o swoim przeznaczeniu. Konduktorzy w tramwajach byli bardziej dobrotliwi, niż zwykle. Mężczyźni ustępowali kobietom miejsca z nadmierną skwapliwością, jakby chcieli tą drobną usługą okupić wstyd, że jeszcze nie służą gdzie indziej. Kobiety patrzały na mężczyzn z milczącą troską, zapatrzone w obcą twarz zdawały się mówić—może jutro już tę twoją najdroższą obcą głowę wezmą na cel karabiny. W naszym nowym życiu serca były wielkie i wrażliwe. Zdawało się, że wnętrza tramwajów, że ulice poprzerzynane są niewidzialną pajęczą siecią, od każdego człowieka szła cienka nić, za każdą kobietą, która śpieszyła ulicą, snuła się nitka, nici plątały się i całe miasto było spowite.

Ludzi ogarnęła gorączka całopalenia, potrzeba bohaterstwa, wyskoczenia wysoko ponad normę swego życia. Służące, stenotypistki, robotnice, otyłe gospodynie, młode studentki stały przed biurami Czerwonego i Białego Krzyża, Wojennego Pogotowia Kobiet, ubrane w ciemne suknie, ciężkie buciki—nie można wiedzieć, może od razu gdzie przydzielą?—i nie usuwały się, kiedy nadchodził alarm. W zapchanych pokojach przed biurkami wychwalały gorączkowo swe umiejętności, swe zdrowie—żadna nigdy nie chorowała, żadna nie zna zmęczenia—patrzały proszącym wzrokiem i już zapisane wracały jeszcze, wyciągały papierki, świadectwa, wracały by dopełnić swe zeznanie niezmiernie ważnym szczegółem. Wychodziły uspokojone lecz na schodach już zaczynały szemrać: dlaczego nie biorą od razu? Jakaś młoda dziewczyna wołała podrażnionym głosem: wojna nie czeka, dlaczego nam każą czekać? Młoda kobieta wyrwała się z szeregu i wołała: mój mąż jest lotnik! Powiewała żółtą kartką jako dowodem swego pierwszeństwa i przepuszczano ją przez wszystkie drzwi. Lotnik . . . słowo podniecało, wskazywało na miejsce najbliższe niebu, najgórniejsze, na bohaterstwo najbardziej tajemnicze, precyzyjne i szybkie, rycerskie i owiane niebieską mgłą—na schodach, na korytarzach rzucano szczegóły wczorajszej, dzisiejszej walki powietrznej, ktoś ją widział, ktoś znał bohatera z imienia i nazwiska—przez szeregi przechodzi drżenie i kobiety krzyczą: chcemy iść na front. Było coś niebezpiecznego w tym gromadnym uniesieniu, w tym szukaniu miejsca, najbliższego śmierci.

Sprawy męskie oddzieliły się od kobiecych wyraźną granicą. Były spokojniejsze, konkretne, oparte na kolorach, na czerwonych paskach, przecinających karty powołania, na literach i kategoriach. Przed słupami, gdzie rozwieszone były ogłoszenia mobilizacyjne stały grupy ludzi, wczytane w zawiły system przynależności, wodzili palcem po kategoriach, jak po mapie nowego kraju i odnalazłszy siebie, odchodzili uspokojeni. Jak ludzie, których życie znalazło już swoją drogę, którym odjęty jest niepokój i troska. Lecz na rogach ulic, w sklepach, w kawiarniach spotykało się ludzi młodych, rozgorączkowanych, którzy dowodzili gwałtownie, że coś nie jest w porządku. Chwytali znajomych lub obcych i wskazując na swą mocną pierś wołali: kategoria A. I nie wzięli. Nie powołali. *Dlaczego*? Zdawało się, że życie w tym mieście możliwe jest tylko tym jednym rytmie w gotowości całopalenia.

Kopano rowy. Ulicami przeciągały oddziały kobiet i mężczyzn z łopatami na ramieniu. Kopano na skwerach, placach, pustych parcelach, zapamiętale, jakby w tym kopaniu wyładować chciano uniesienie, napięcie, wolę obrony. Nad zadymioną dzielnicą płynęły trójkami niemieckie samoloty. W wąskich ulicach przelewały się gromady czarnych ludzi, patrzyli w górę, wysłannicy aryjskich bogów błyszczeli zimnym blaskiem, od którego zamierał oddech. Ktoś chwytał się za serce, ktoś rękami obejmował głowę, ktoś stojąc w oknie zamykał je nagle, ktoś przywarty do gładkiej ściany szukał palcami oparcia, jakaś kobieta krzyknęła w obłędnym strachu—wtedy nagle wyciągali pięści ku górze i wołali: nie przyjdzie, niedoczekanie jego.

W sklepach było pełno. W sklepach z papierem, gdzie kupowano przybory do zasłaniania i uszczelniania okien sprzedawczyniami były młode dziewczęta, miały twarze przybladłe i zapomniały uróżować usta. Odmierzały szerokie żałobne rolki zasłon, nachylały się nad płaszczyzną czarnego papieru z powagą i odpowiedzialnością, były jak dowódcy na froncie obrony. Wydawały się podniesione w swej godności, stały na ważnym odcinku celofanu i kleju i zapewne w skutek tej ważności, która nagle przypadła im w udziale zapominały złorzeczyć wojnie. W sklepach spożywczych panował nastrój uroczysty. Podawano ceny z przesadną dokładnością. Starano się odważyć dobrze kilo mąki i cukru. Sprzedaż i kupno zamieniły się w szlachetny akt rozdziału dóbr. W pierwszych dniach wojny ukarano srogo kilku spekulantów. Stojąc przed ladami sklepów kobiety w ciemnych sukniach i szerokich fartuchach chwaliły wyroki. Nigdy nie wierzyły prawu—teraz uwierzyły. Układając śpiesznie, w koszykach zakupy i rzucając niespokojny wzrok ku ulicy czy nie nadchodzi alarm, wołały:

—Taki drań, niech idzie do Hitlera. Tam miejsce dla rabusiów, nie tu.

Wszyscy wierzyli, że tu, po polskiej stronie frontu nastała era sprawiedliwości.

Przed aptekami stały kolejki. Magistrzy w białych fartuchach rozkładali bezradnie ręce: nie ma masek gazowych . . . zabrakło . . . może za parę dni. Nie szemrano, nie dziwiono się, nie bano się. Kupowano bez wielkiego przekonania—paczki, w których były środki antyiperytowe. Wieczorami w aptekach paliły się zielone światła, zielona poświata rozlewała się na ciemny bruk. Iperyt . . . iperyt . . . słowo obijało się o mury domów i była w nim pewność cierpień i śmierci. Może właśnie dlatego nie martwiono się, że nie ma masek. Maska była niczym wobec losowego rozrachunku z życiem, z wrogiem, wobec odpowiedzialności za cały kraj, za ojczyznę. Młoda dziewczyna wzruszała ramionami: raz kozie śmierć. . . . Uśmiechano się ku tej najostatniejszej pociesze. W aptece magister powatarza godzinami i już zupełnie mechanicznie te same słowa: może jutro . . . pojutrze. Ludzie wracają do domów spokojni. Przystają przed bramami i szepczą sobie do ucha tajne, pewne i najważniejsze wiadomości: już się rozpoczęła ofensywa na zachodnim froncie. Ściskają sobie ręce i na ciemnej ulicy padają sobie w objęcia.



Henryk Gotlib: Warszawa (fragment)

Jest to pierwsza reprodukcja wielkiego obrazu (dziewięć metrów kwadratowych), skończonego niedawno i jeszcze nie wystawionego. Obraz ten powstał w Londynie i jest jednym z pierwszych dzieł plastycznych, natchnionych cierpieniem i bohaterstwem Warszawy. Na reprodukowanym wycinku poznajemy łatwo: łachę wiślaną, kolumnę Zygmunta, Zamek Królewski w ruinie, i na pierwszym planie żołnierza polskiego, oraz grupę ludzi walczących i zdjętych grozą wobec okropności tego, ce przeżywają. Autor tego obrazu należy do wybitnych malarzy współczesnych. Ma za sobą długą działalność artystyczną. Bespośrednio po wojnie brał żywy udział w krakowskim ruchu, mającym na celu odnowienie sztuki plastycznej (" Formiści," " Niezależni "). Wystawiał od roku 1918 w kraju i zagranicą: we Francji, w Niemczech, Holandii, Belgii, Skandynawii ii. Uczestniczył w życiu organizacyjnym; przez dwa lata redagował " Głos Plastyków." Pisał wiele o sztuce. Przed wojną ukończył książkę: " Wedrówki malarza," obecnie przygotowuje dla wydawnictwa " Minerwa " angielską książkę: " Polish Painting " (" Malarstwo polskie ").

Niekiedy przez ciche aleje naszej dzielnicy przebiega pomruk gniewu. Dzielnica leży na skraju miasta, drogi wysadzane drzewami zbiegają się z podmiejskich wsi i osiedli. Szarymi szlakami ciągną furmanki naładowane warzywem. Zawsze przyjeżdżały rano, teraz jeżdżą wieczorami. Na furmankach siedzą kobiety, spokojne sprzedawczynie ogórków, kalafiorów, pomidorów. Tego dnia przyjechały rozognione, wymachiwały ramionami, podnosiły do góry oczy i ręce, jakby wzywały zemstę niebios. Dziś rano ostrzeliwano je. Z nieba zaledwie zaróżowionego wschodzącym słońcem padły strzały. Na drodze został trup konia, przewrócony wóz, dwie ciężko ranne dziewczyny odwieziono do szpitala.

—I ten towar stracony!—wołały—czy to Bóg tego nie pomści?

Lecz okazało się, że wymierzyły sobie zemstę same. Jechały już później bocznymi drogami i zobaczyły nagle, jak z nieba, z samego jasnego nieba spływa na ziemię coś białego. To nie był anioł. To był skoczek na spadochronie. Na polu było pusto. Nigdzie człowieka. Czekały ukryte za drzewami. Wylądował. Wtedy skoczyły.

Kiedy mówiła o tym śniada drobna kobieta, która w uśmiechu cienkich warg pokazuje drobne białe zęby, trzymała oburącz kalafior—tylko 20 groszy za taką wielką sztukę!—jak głowę człowieka. Podsunęła pięść pod białe pąki, jak pokryte bielmem oczy i wstrząsała tą głową oderwaną od trzonu, wołając:

—Nie chcę pieniędzy! za darmo oddam! Tylko niech Pan Bóg pomści! Tylko niech Pan Bóg pokarze!—Wodziła wokoło ciemnymi oczyma, rozgorzała od gniewu, jak bogini zemsty.

W bramach, na ulicach czuwa nocna służba pogotowia lotniczego. Obchodzą bloki domów, świecą w ciemności małymi latarkami. Domy zdają się martwe. Przez przesłonięte okna nie przeciska się żaden promień światła. Lecz za murami ludzie pracują. Dłużej niż zwykle, dłużej aniżeli trzeba. Nastawili się na wysiłek największy, na poświęcenie i wielkość i chcą tę wielkość realizować przy biurku, przy ladzie, przy maszynie, przy kuchennym piecu, w chodzeniu, staniu, czuwaniu. Drzwi mieszkań są otwarte. Kobiety kończą wojenne " meblowanie." Urządzają schrony, śpiżarnie uszczelnione, pewne, niezdobyte, w tej pracy nie ma podziału na moje i twoje. Dzielą się zapasami, pracują do późnej nocy nad cudzym schronem, nad cudzą śpiżarnią. Rozszerzyły się granice macierzyństwa, objęły prócz własnych dzieci wszystkich sąsiadów, cały dom, ulicę, miasto—cały kraj.

Kiedy wracamy do domu zmęczeni po całodziennej pracy nie czujemy ścisku w zapchanym tramwaju. Stoimy skupieni gęsto, przywarci do siebie, zczepieni połami płaszczy. Lampy są przesłonięte, światło jest niebieskie, nierzeczywiste i droga od przystanku do przystanku wydaje się podróżą w jakieś wspaniałe życie.

Nieszczęście wojny przynosi ze sobę szczęście wspólnoty.

Stefania Zahorska

Fragment z niedrukowanej powieści: " Polska jesień."

Warszawa — lato 1940

Jakaż jest teraz ta inna Polska okupantów, a właściwie Warszawa, którą opuściłem w maju 1940 roku?

Jakaż jest ta inna Warszawa; przepełniona — 1.500 tysięcy mieszkańców, o 300 tysięcy prawie więcej niż przed wojną, ścieśniona o 1/3 w kwadraturze swoich izb mieszkalnych; pozbawiona telefonów (zubożenie i strach przed podsłuchem); pozbawiona taksówek i dorożek (zabrano konie dorożkarzom); pozbawiona wielu ulic, na wielu ulicach z chodników ruiny nie sprzątnięte; pozbawiona teatrów, kin (filmy tylko niemieckie, bojkotowane przez społeczeństwo polskie), odczytów, koncertów, życia towarzyskiego (wieczorem o 8-ej trzeba być już w domu). Pełna ogonków przed niektórymi sklepami (spożywcze i włókiennicze); głucha okienicami sklepów zarekwirowanych przez okupantów, ślepa wypalonymi oknami.

Jakaż jest ta Warszawa o prawie pustych jezdniach, po których z szybkością, dozwoloną na zachodzie jedynie na autostradach, pędzą niemieckie samochody. O chodnikach zatłoczonych, przez tłum, który wylewa się aż na te jezdnie. Przez śpieszący się, popychający wzajemnie, obryzgiwany błotem z jezdni, lub zasypywany kurzem z walących się domów; tłum szary, bez znajomej twarzy, a właściwie tłum o jednej twarzy, tak wspólny wyraz jest zaciśniętych warg i oczu.

Jakaż jest ta Warszawa pełna kontrastów? Warszawa—miasto koncertów—to bezrobotni muzykanci w orkiestrach złożonych nieraz z dwudziestu osób, grają na każdej prawie ulicy.

Warszawa—miasto miłośników książek. Na każdym rogu ulicy —kosz pełen książek do sprzedania. W wybitych oknach zrujnowanych domów ułożone na deskach książki. W każdej kawiarni—kiosk z książkami. Nigdy Warszawa nie czytała tak wiele. A co czyta najchętniej? —zabronioną przez władze niemieckie "Trylogię" Sienkiewicza. A co kupuje najwięcej?—samouczek "jak skonstruować radio," a to na wypadek, kiedy wreszcie będzie można już mieć to radio, a jeszcze nie będzie można go kupić.

Warszawa wzniosła i upadła. Warszawa pełna pijaków leżących na chodnikach, rozbijających się w dorożkach—tych kilku ocalałych — wykrzykujących piosenki i groźby. Pełna handlarzy wódek, kokainy i morfiny. Pełna zziębniętych dzieciaków sprzedających papierosy, tytoń, machorkę, pestki, cukierki Wedla, zdobyte za tanie pieniądze po wystawaniu godzinami w kolejce pod sklepem. Dzieciaków handlujących wszystkim: "powiedział mi ten żołnierz niemiecki, że jak mu przyprowadzę starą to mi da dwa złote, a jak młodą to pięć! "Warszawa, której straganiarki znalazły odpowiedź na pytanie Niemców: *Wie viel kostet die Liebe?*" Ile kosztuje miłość?—"*Fragen Sie ihre Mutter.*"—Zapytaj swojej matki—i Warszawa pełna wystrojonych prostytutek i ubogo odzianych kobiet, noszących ciężary na plecach. I uczniaków pozbawionych szkół i nawet prawa noszenia czapek uczniowskich, uczniaków w cyklistówkach i beretach w paltach z obciętymi guzikami, bo trzeba było skasować te urzędowe, a innych nie mieli; uczniaków przekradających się na zakonspirowane komplety, i nauczycieli, co na tych kompletach wykładając, ryzykują życiem.

Warszawa, miasto tych, co wyprzedają ostatnią poduszkę, ostatnią koszulę, tych co raz jeden przez całą lutą zimę palili w piecu, i tych co handlowali drogim węglem, co paskowali, co się dorobili, i skupują te poduszki, te koszule, te futra, te pamiątki rodzinne, srebra, obrazy i dywany.

Jakaż jest ta Warszawa? Bohaterska w wyczekiwaniu, przechowująca na piersiach ulotki zrzucone przez angielskich lotników, zapowiadające pomoc i wyzwolenie, ulotki, za znalezienie których groziło rozstrzelanie. Bohaterska w wydawaniu gazetek—komunikatów podsłuchanych w ukrytych radiostacjach. Jedna z tych stacji, w domu na trzecim piętrze na rogu Sosnowej i Złotej, w marcu wykryta przez Niemców, przez czterdzieści godzin broniła się. Oblegano ją, jak fortecę, zdobywano metr za metrem, okno za oknem. Broniła się dopóki nie wystrzelano wszystkich konspiratorów. Wynoszono ich później, posiatkowanych kulami—na ulicę. A właścicielowi kazano przy nich uklęknąć i tłuczono jego głową o mur tak długo aż skonał.

Warszawa kontrastów. Warszawa bohaterstwa i szumowin. Wszystko, co w człowieku jest istotne—wyzwala wojna. Wyzwoliła wielkie serca, wielki wysiłek, codzienny niezmierzony trud. Codzienny niezmiernie ciężki obowiązek wytrwania i pomocy wytrwania bliźniemu.

Wyzwoliła i tych słabych, co się dali wziąć na lep niemieckiej roboty i poszli, namówieni, grabić sklepy żydowskie. To było przed samą Wielkanocą. Głód doskwierał, nie było co dać dzieciom jeść. "Pięć złotych dziennie i prawo grabieży"—tak obiecywali Niemcy. I Warszawa taka też się znalazła, poszła na to. Najpierw szli prowodyrzy—żołnierze niemieccy z krabinami, lub gestapowcy po cywilnemu ubrani. "Hurra" krzyczeli i biegli na przód, a potem fala mętów podmiejskich a potem szakale—kobiety z workami i koszykami. "Do Wisły was, potopić wszystkich! Na cudze rękę podnosić to grzech!" krzyczała dozorczyni jednego z domów, ale kto słuchał tych krzyków, dzieci w domu z głodu krzyczały głośniej.

A potem przyjeżdżały samochody z policją niemiecką i gestapowcy uspakajali polską tłuszczę bijącą Żydów, a aparaty filmowe umieszczone na tych samochodach nakręcały ten doskonale wyreżyserowany film, film mający robić propagandę w Ameryce.

Taka też była Warszawa, z barykadami ustawionymi przez tragarzy żydowskich na ulicach dzielnicy północnej. W halach mirowskich leżały trupy Żydów zabitych drągiem, czy zwykłym nożem. Ale Żydzi, właśnie tragarze, zaczęli się bronić, a fala mętów wezbrała i grabiła wszystko, co było pod ręką, już nie tylko sklepy żydowskie. Wtedy Niemcy zdali sobie sprawę, że rozruchy głodowe mogą się zmienić w rewolucję i powstanie. Zabroniono prawa grabieży. Ustawiono w wylotach ulic karabiny maszynowe. Warszawa cofnęła fale swoich mętów z powrotem w podziemia, do baraków, do schronów zamienionych na domy mieszkalne, do rowów i min.

Taka to była też Warszawa. Ludzi wielkich i małych, ludzi ubogich duchem i bohaterskich w odwadze cywilnej, stawiającej czoło rozbestwionej tłuszczy. Taki był ten ksiądz, który stanął w obronie bitej Żydówki i sam został przez niemieckich żołnierzy poturbowany; tacy byli ci policjanci, którzy we dwuch bronili grabionego sklepu i zostali skopani, stłuczeni kamieniami, pobici cegłami.

Ta Warszawa—pełna ludzkich grzechów i gołębich serc, ci wszyscy z przedmieść i ze śródmieścia, i ci bez koszuli, i ci co tę koszulę kupili, znów złączyli się razem, tak jak razem poszli na groby.

Dziwna zaiste Wielkanoc była tego roku. Choć koniec marca, nie było jeszcze wiosny, ni kwiatka. Zamiast kwiatów świeczkę stawiano na grobie Chrystusa. Zamiast w kościele—zapalano świeczkę na grobie żołnierza polskiego, co pochowany i jeszcze nie ekshumowany, leżał na tym i na tamtym i jeszcze na tym skwerze pośrodku miasta.

Kościoły były przepełnione, w kryptach przy grobach Chrystusa naród na kolanach opłakiwał śmierć swoich żołnierzy; na skwerach przy grobach poległych —w te ostatnie dni Wielkiego Postu — opłakiwano ofiarę Chrystusa.

Chrystus i żołnierz polski jednakowo leżał w grobie. Chrystus w kościele Akademickim na Krakowskim Przedmieściu, miał grób złożony z kamieni i cegieł z gruzów murów Warszawy. Krzyż nad nim stał z dwu nadpalonych bierwion wyjętych ze zgliszczy Warszawy. Napis był tylko inny. Tam—żołnierz polski poległy za ojczyznę, tu: Jezus Chrystus—ukrzyżowany za ludzkość całą.

Warszawa przyszła na groby, klęczała przy tych grobach i modliła się o zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa—króla narodów i Żołnierza Polskiego—żołnierza uciśnionych.

Andrzej Lenczewski

NIE ZWOLNIĆ KROKU

W żołnierskim trudzie krwawego roku,
po tylu polach, po tylu górach
idziemy na przód, nie pląrząc kroku,
długim, chłonącym marszem piechura.

Tu się nam w koło las zazieleni,
tam się pod nami rozchwieje morze—
idziemy ciągle, chociaż strudzeni,
i w imię Polski, i w imię Boże.

Nie zwolnić kroku! Nie ustać w trudzie!
—a za to kiedyś piersiami swymi,
jako stęsknieni nad miarę ludzie,
przypaść do swojej rodzinnej ziemi! . . .

Ona tam czeka, wichrem szumiąca,
rozkołysaną podzwonnym echem,
w każdym promieniu młodego słońca
matczynym chce nas witać uśmiechem.

Rok—to tak wiele, rok—to tak mało . . .
Myśmy gotowi kroczyć i lata,
byle by nam się kiedyś udało
powrócić do niej w sławie ze świata.

Wrócić uczciwie, mężnie, orężnie,
zagoić rany, co dzisiaj bolą,
sztandarem wionąć, a niebosiężnie,
nad obaloną w prochy niewolą.

Potem go zniżyć w kornej podzięce
Temu, co wiódł nas—Panu i Bogu,
z cichą pieszczotą przesunąć ręce
po każdym, który ocalał, progu.

Rok—to tak mało, choć i tak wiele . . .
Z niezłomną wiarą, z płomieniem w oku
idziemy na przód, prosto i śmiele—
byle by tylko nie zwolnić kroku!

Antoni Bogusławski

Bolesne pytanie

Na Stacji Zbornej, na zbiórce porannej, przystępujemy do obliczeń, z jakich krajów pochodzą nasi żołnierze. Większość to Polacy z Francji, przeważnie urodzeni już w tym kraju. Ci niech zostaną w szeregu, ułatwi to nam liczenie. A teraz ci, którzy przyszli z Polski—wystąp! Z Belgii—wystąp! Z Luksemburga, z Holandii, z Afryki, z Ameryki, z Legii Cudzoziemskiej. . . .!

Na to ostatnie wezwanie grupuje się zazwyczaj kilka wysokich postaci o prawdziwie żołnierskiej postawie. Są to przeważnie ci byli legioniści, którzy tuż przed wojną ukończyli pięciolecie i nie odnowili zobowiązania do dalszej służby. Są też starsi, choć jeszcze w sile wieku. Mieli nieduże emerytury francuskie za swoją służbę w Legii, a teraz zgłosili się do polskiego wojska.

Jakże chętnie porozmawiał bym, ja zwyczajny podporucznik rezerwy, który przyszedłem z Polski—z tymi wszystkimi Polakami z obcych krajów, z gorących kontynentów, z poza dalekich mórz. . . . Tak mało jednak czasu pozostawia mi służba. . . .

Po zbiórce przybliża się jednak jeden z legionistów, starszy sierżant. Twarz spalona słońcem, ale jakaś jakby znajoma. . . . Gdzież to się takie twarze widuje?

—A pan porucznik skąd z Polski, z jakiego miasta?—pyta mnie wysoki legionista i tak jakoś dziwnie patrzy, kiedy słyszy odpowiedź.

—To pan porucznik ze Lwowa? —nie dowierza mi.—Ja jestem Rybiński z Zamarstynowa!

I zaczyna się pogawędka. Starszy sierżant Rybiński walczył ongiś jako młody chłopak w oddziałach Obrony Lwowa pod dowództwem Abrahama. W 1922 roku opuścił Lwów i Polskę. Nie pytam dlaczego. Teraz ma Medaille Militaire, Croix de Guerre, jakąś gwiazdę od Beja Tunisu. Opowiada mi o swoim życiu w Legii.

—*Eh bien,* panie poruczniku, u nas w *Leżionie* nikt nie *refuzuje* (to znaczy—domyślam się—nie odmawia posłuszeństwa). Zawsze na przód. Słońce pali, a my idziemy. Po bokach *spajsy* (kawaleria niby), *protekcja* dla nas. A kiedy przychodzi wieczór —*kampujemy,* zakładamy obóz przed tymi . . . wie pan . . . *les Arabes.*

W pewnej chwili przerywa jednak opowiadanie i wypytuje mnie nie tyle o Lwów, ile o Zamarstynów. . . . Czy znam tam pewnego rzeźnika? Niestety, nie znam, ale mu za to opowiadam, jak to przy ostatnich wyborach miejskich na Zamarstynowie lała się nie krew, lecz piwo, dostarczane obficie wyborcom przez pewnego ambitnego piekarza-kandydata, który się przejął do głębi metodami pewnej grupy politycznej. Oburzaliśmy się na to we Lwowie, ale dość pobłażliwie, bo to Zamarstynów—dzisiaj uśmiecham się z rozrzewnieniem razem z panem z *Leżionu.* . . .

—A baciary lwowski są jeszcze we Lwowi?—pyta mnie pan sierżant z nutą troski w głosie. A są, jakżeż przyjacielu, są! Bili się z Niemcami, a jakie kawały wyprawiali poźniej durnym bolszewikom. . . .

I znowu ja opowiadam, a legionista słucha. O istnieniu Lwowskiej Fali dopiero teraz ode mnie słyszy.

—*Eh bien,* wrócimy jeszcze do Lwowa, panie poruczniku?

—Wrócimy, kochany panie Rybiński, wrócimy . . . na pewno. Od strony Gródka wmaszerujemy, aż się ziemia będzię trzęsła.

Pokrzepiony odchodzi ode mnie starszy sierżant Rybiński i natychmiast zjawia się drugi. Ten jednak przychodzi z zażaleniem . . . Zgubiono go w wykazie zaopatrzenia, żołdu mu nie zapłacono. Jan Nowak—to stary żołnierz. Bił się w dywizji syberyjskiej, był w niewoli bolszewickiej, potem wywędrował z niewdzięcznego, a raczej przez niewdzięcznych ludzi rządzonego, kraju i wstąpił do Legii. Oh, *c' est ça,* jemu o pieniądze specjalnie nie chodzi. Swoich z emeryturki co prawda już nie ma, ale dobrzy chłopcy, koledzy pochodzący z Francji, mają pieniądze, jeszcze mu szklankę postawią. Oświadczam Nowakowi, że pieniądze otrzyma i niech zda sobie sprawę, że podoficer rachunkowy tak zawalony jest pracą, że może się pomylić. . . .

Ale Nowak jeszcze raz wyjaśnia mi, że o pieniądze mu nie chodzi. Jemu—jakby to powiedzieć—chodzi o jego osobowość. Dlaczego go pominięto? Zaczyna mi obszernie tłumaczyć swoje uczucia. On, Nowak, nie ma już nikogo na świecie. Ani rodziców, ani żony, ani dzieci i w ogóle nikogo bliskiego.

Więc kto on właściwie jest, Jan Nowak? Francuzi zawsze dotychczas wiedzieli, że on jest Polak. Ale teraz nie ma Polski. . . . Więc Jan Nowak zgłasza się na ochotnika do polskiego wojska.

—Bo, panie poruczniku— jakiż ja jestem Polak, skoro nie ma Polski? Jakiż ja jestem Polak—powtarza z uporem pytanie i patrzy mi prosto w oczy.

W pewnym momencie jednak odwraca, się. Wyjmuje z kieszeni chustkę. . . . Jan Nowak stary wojak, Syberia, dwa lata w niewoli bolszewickiej, piętnaście lat w Legii Cudzoziemskiej . . . I ja się odwracam. . . .

Za chwilę wraca legionista Jan Nowak, znowu twardy i surowy. Kończymy rozmowę. . . . Ale w mózgu moim dzwoni uporczywie pytanie tułacza i wędrowca, pytanie, które tętni dziś w sercach wszystkich Polaków na globie ziemskim.

—Jacyż my jesteśmy Polacy, skoro nie ma Polski?

I dlatego walczą i giną nasi rodacy w Polsce, i dlatego zbroiliśmy się w wielką armię na ziemi francuskiej, zbroimy się na nowo na ziemi angielskiej, zbroić się będziemy tak długo, jak będzie trzeba, aby dać godną odpowiedź na to bolesne pytanie.

Bo lepiej nam zginąć, niż nie odpowiedzieć.

Marian Rojek

Zachowawczość angielska

Anglicy uchodzą za naród wielce konserwatywny. W rzeczywistości jest w nich mieszanina zachowawczości i śmiałości nowatorskiej, która zbija z tropu tego, kto chciałby tu zastosować jakąś krótką formułkę.

Konserwowanie w Anglii pewnych kształtów czy sposobów do złudzenia przypomina zacofanie. Gdy mi w stolicy Imperium w pierwszorzędnym sklepie spożywczym subiekt kraje salceson tymi samymi rękami, którymi od poprzedniego klijenta zgarniał miedziaki, co to od czasów królowej Wiktorii chodzą po kraju i zbierają mikroby—to mi jest dziwnie. Gdy co rano widzę, jak kobiety *klęcząc* myją kamienne przedsionki przed domami, to też sobie myślę, że gdzie indziej szczotki na długich kijach wynaleziono już od sporego czasu.

Bywają objawy konserwatyzmu zabawne. Pełno ich w zwyczajach parlamentu. Np. poseł nie może zrzec się mandatu. Jest to pozostałość z czasów, gdy posłowanie było *służbą* na rozkaz królewski, wobec czego nie można było uchylać się od niej samowolnie. Dziś taki zakaz jest, oczywiście, bez sensu. Ale to mu nie przeszkadza w trwaniu. Cóż więc ma począć poseł, któremu znudziła się polityka? Szczęśliwie przychodzi mu z pomocą inna szczątkowość. Przed kilkuset laty w miejscowości Chiltern Hundreds grasowali zbóje, król więc osadził tam starostę, aby pilnował porządku. Łotrzyków z czasem powywieszano, ale urzędu starościńskiego nie zniesiono. Jest nawet do niego po dziś dzień przywiązana pensja 1 funta rocznie i w tym jest cały dowcip. Posłowi bowiem nie wolno przyjmować urzędu opłacanego z kalety królewskiej. Jeśli go przyjmie—traci automatycznie mandat poselski. Otóż członek Izby, pragnący zrezygnować, zwraca się do rządu z prośbą o zamianowanie go starostą Chiltern Hundreds. Rząd doręcza mu nominację. Nowy "funkcjonariusz" traci wskutek tego mandat. Poczem składa "urząd." W ten sposób wilk jest syty, owca cała i procedura długa.

W roku 1605—ym usiłowano dokonać groźnego zamachu na Westminsterską siedzibę parlamentu angielskiego. Spiskowcy nagromadzili w podziemiach gmachu wielkie zapasy materiałów wybuchowych. Spisek jednak w ostatniej chwili wykryto i zamachowców stracono. Od tego czasu przed otwarciem każdej sesji parlamentu specjalna delegacja schodzi w podziemia Westminsteru i sprawdza, czy nikt nie zamyśla znowu wysadzić parlamentu w powietrze.

W głównym londyńskim sądzie karnym, t. zw. Old Bailey, przed sędzią—ubranym w szkarłatną togę i wyperuczonym—leży na stole mały bukiecik kwiatków. Poszło to stąd, że budynek sądowy stał ongiś w bezpośrednim sąsiedztwie osławionego więzienia Newgate. W więzieniu tym panowały straszliwe warunki hygieniczne, to też podsądni, których przyprowadzano z Newgate na rozprawę, cuchnęli i roznosili zarazki wszelkich chorób. Kładziono więc na stole trybunalskim bukieciki, aby sędziowie mieli w co wtykać nosy i mogli chronić się w ten sposób przed groźnym fetorem. Na miejscu więzienia Newgate od dawna już stoją normalne czynszowe kamienice, oskarżeni zjawiają się wykąpani i ogoleni, ale pstre bukieciki nadal kładzie się przed sędziami.

Że Anglia jest krajem demokratycznym, nikt nie wątpi, a jednak demokracja angielska pieczołowicie utrzymuje jakże niegdysiejszy ceremoniał dworski, dygnitarzy swoich odziewa w pompatyczne stroje z czasów szekspirowskich i przechowuje przeróżne inne pozostałości z epok wielkich nierówności politycznych i społecznych. Czym to wytłomaczyć?

Tym przede wszystkim, że Anglicy, będąc konserwatystami są równocześnie narodem nie wahającym się wprowadzać radykalnych nawet nowości, jeśli tylko *życie wskaże ich konieczność.* Nie obawiając się więc, że kult przeszłości stanie się im pułapką, nie widzą potrzeby usuwania form, którym—choć na pozór wytlały—nie brak jednak wartości. Po pierwsze wprowadzają one swą staroświeckością pewien czynnik sztuki w prozę codzienności: barwne kostiumy i niewspółcześnie patetyczne gesty, które dzięki nim ma się sposobność oglądać, czynią w pewnych chwilach z życia teatr. Powtóre, co ważniejsze, w formach owych staje się widoczna łączność z epokami, które wszystkie przekazywały dzisiejszemu pokoleniu angielskiemu coś ze swej wielkości.

W ten sposób konserwatyzm angielski okazuje się objawem bardzo głęboko ukorzenionego patriotyzmu. Przede wszystkim Anglik lubuje się w dawności nie wszystkich urządzeń, ale tych które mu uzmysławiają trwałość a przez to i świetność jego cywilizacji. Następnie Anglicy zdają sobie sprawę, że urządzenia życia publicznego nie wiszą w powietrzu. Im dłużej istnieją, tym więcej przyrasta do nich zwyczajów, obyczajów, poglądów, nastrojów myślenia, zasad moralności politycznej. Jak taki pozornie zwietrzały przeżytek chcieć usunąć, wówczas okazuje się, że wyjeżdża wraz z nim cały kawał narodowej filozofii życia.

Owóż tę swoją filozofię Anglicy bardzo sobie cenią. *Mieszczą się w niej takie zapatrywania, jak że człowiekiem nie wolno poniewierać; że ludzie winni sobie okazywać życzliwość; że najcenniejszą właściwością człowieka jest charakter; że źrenicą wolności jest Prawo; że jeśli obywatel winien służyć państwu ze wszystkich sił, to z drugiej strony państwu nie wolno nadużywać swej potęgi w stosunku do obywatela; że zasada rycerskiej gry —fair play—obowiązuje nie tylko w sądzie i urzędach, ale także w stosunkach prywatnych i że jedynie człowiek, który nie szanuje samego siebie, uderza przeciwnika poniżej pasa.*

Te i tym podobne poglądy tworzą ideowość angielską, za którą, jak za szańcem, leżą bezcenne dobra życia obywatelskiego i prywatnego. I jeżeli Anglicy nie kwapią się do nowinkarstwa, jeśli—przeciwnie—starają się zachować jak najwięcej z tego, co zastali w swoim pokoleniu, to dzieje się tak dlatego, że obawiają się, by przy sposobności przeróbek nie rozluźniło się coś w systemie wiązadeł, które stanowią o wartości życia angielskiego.

Pod tym względem konserwatyzm chłopa polskiego przypomina konserwatyzm Anglika—mimo olbrzymie różnice w położeniu życiowym ich obu. Zachowawczość chłopa polskiego daje wprawdzie—dzięki połączeniu z nędzą—w konkretnych przypadkach fatalne wyniki kulturalne. Ale ona to przecież, nie pozwalając rozpadać się najgłębszym składnikom polskiej odrębności narodowej i najstarszym czynnikom obyczajowości polskiej, stróżuje u podwalin naszego życia narodowego.

Postępowość Anglików wynika z ich zmysłu życia praktycznego. Podczas gdy Francuz lubi przejrzyste programy działania, odznaczające się ścisłą logiką wewnętrzną i wskazujące dalekie cele dążenia, Anglikowi wystarcza plan rozwiązania zagadnień, które mu w danej chwili podeszły pod próg. Ale też zagadnienia takie chce mieć załatwione gładko, bez skrępowania takimi czy innymi teoriami i bez względu na to, czym się kierował wczoraj w podobnych okolicznościach; dzień dzisiejszy jest inny i zawiera w sobie swoje nowe prawo. Anglik pozwala sobie wyperswadować bez porównania więcej i bez porównania szybciej, niż jakikolwiek inny naród, byleby perswadującym było—Życie.

To też wiele reform przeprowadzano w konserwatywnej Anglii znacznie wcześniej lub znacznie radykalniej, niż w krajach nie stroniących od ideologii rewolucyjnej. Anglia miała na szereg lat przed Francją socjalistycznego premiera. Anglia w r. 1911 mocniej obcięła prawa swej Izby Lordów, niż to do czasu konstytucji Pétaina uczyniła Francja ze swoim Senatem. Anglia dała kobietom prawa wyborcze, których Francja skąpi im po dziś dzień. Anglia energiczniej, niż inne kraje, poczęła wysokimi stawkami podatkowymi dobierać się do kieszeni klas posiadających. Środki, które Anglia przedsięwzięła po wybuchu wojny dla podniesienia swej siły bojowej, bywały w wielu kierunkach drastyczniejsze od tych, które zastosowano w krajach, mających opinię lepszych szybkobiegaczy w dziedzinie zmian ustrojowych.

Oczywiście i przy wprowadzaniu reform odzywa się hamująco zasadniczy konserwatyzm angielski. Zakorzeniona w zachowawczości ostrożność sprawia, że nie wyprowadza się wszystkich następstw z dokonanej zmiany polityki, ale skręca się ster dokładnie o tyle tylko stopni, ile tego wymaga chwilowa sytuacja życiowa. Z tej obawy Anglików, by nie dać się porwać w polityce jakiemuś czysto logicznemu rozumowaniu, lecz jedynie ściśle dotrzymywać kroku bieżącym, jasno widocznym potrzebom życiowym, podrwiwał sobie już przed 70-u laty jeden z najwybitniejszych statystów angielskich. Twierdził mianowicie, że gdy angielski polityk zabiera na zgromadzeniu głos w sprawie, ile jest dwa a trzy, wówczas mówi mniej więcej tak: "Nie chcę wypowiadać się stanowczo o tym, czy dwa a trzy jest rzeczywiście pięć, choć nie przeczę, że argumenty, które mój przedmówca przytoczył za tym zdaniem, są bardzo ważkie. Chcę jedynie powiedzieć, że możemy z całym spokojem przyjąć, że nie ma dowodów przemawiających przeciw temu, iżby dwa a trzy było istotnie pięć."

Tak sobie 70 lat temu Anglicy dworowali sami z siebie. Od tego czasu ich ostrożność, jako że wrodzona, nie uległa zmianie. Za to w nowatorstwie nabrali rozpędu. To nie znaczy, by im się śniły rekordy amerykańskie. Tam, w Nowym Świecie, gdzie wszystko musi błyszczeć ostatnim dokonaniem techniki, tempo zastępowania starego nowem jest zawrotne. Tu, w Anglii, cześć dla starych drzew nie pozwala rozwinąć się gorączkowości życia. Ale to, co dzieje się na oczach naszych, przekonywa, że z konserwatyzmu angielskiego zniknęła dawna, często drażniąca flegmatyczność. Jeżeli Anglicy pozostali w głębi dusz zachowawcami, to w tym znaczeniu, że nie chcą w pośpiechu nowatorstwa zagubić ciągłości swej kultury i swego stylu życia. Nie karczują starego lasu, lecz go prześwietlają. Że mogliby przy sposobności bez szkody wyciąć jeszcze to i owo, to pewne. Ale już im przepuśćmy. Rąbią teraz dobrze i wpuszczają zdrowy pęd powietrza w potężny bór angielski, nie płosząc przy tym swoistej poezji, co chodzi wśród starodrzewu.

Publicjusz

ABC angielsko-polskie



Cricket to gra angielska, równie popularna jak piłka nożna, którą tu najlepiej nazywać oczywiście z polska "futbol," a pisać "football" . . .—Natomiast nie mieszajmy "cricket'u" z "croquet'em." Ten ostatni wyraz oznacza znany w Polsce krokiet. Natomiast "cricket" to gra terenowa, rozgrywana między dwiema drużynami ("teams"), składającymi się z jedenastu graczy każda. Gracze ustawiają dwie bramki czy cele ("wickets") oddalone od siebie o 22 yardy (= ok.20 m.) Każdy "wicket" składa się z trzech "stumps," czyli kołków z listwami "bails." Z tyłu za każdym "wicket" biała kreska oznacza granicę, poza którą nie wolno przestąpić "bowler'owi" (kręglarz, rzucający kulę). Druga, przednia biała kreska oznacza granicę, której nie wolno przekroczyć "batsman'owi" (podbijaczowi). Grę rozpoczyna drużyna wylosowana przez kapitanów: jej dwaj "batsmen'i" w rękawicach, z "bat" (palantami) w ręku, zajmują miejsca w "wickets," podczas gdy ich towarzysze oczekują swej kolejki. Nadejdzie ona, gdy dwaj wymienieni gracze przegrają i będą musieli wycofać się stosownie do decyzji dwu arbitrów ("umpires"). Grający "batsmen'i," winni starać się dokonać najwięcej biegów między bramkami, podczas gdy gracze drużyny przeciwnej, kierowani przez swego "bowler'a", starają się bić do bramki, bronionej przez "batsman'a," piłki rzucane seriami po sześć. Jeśli piłka pozostaje po każdej grze w rękach drużyny atakującej, arbiter zarządza zmianę miejsc—"over." "Batsman" jest "out," czyli usunięty z gry, jeżeli: bramka zostaje wywrócona, jeśli zachodzi "ręka" (dotknięcie piłki przez batsmana, zanim dojdzie ona do ziemi, i t.d.)—Nie możemy tu dawać pełnego wykładu gry w "cricket," choć gra ta, nieznana w Polsce, jest ośrodkiem żywego zainteresowania wszystich sfer angielskich, a poszczególne mecze gromadzą do 100,000 widzów!



Kawiarnia w właściwym sensie tego słowa w Anglii nie istnieje. Tak mówiono mi zawsze, tak czytałem w różnych książkach. Jest to tak dalece prawdziwe, że Anglicy używają wyrazu francuskiego "café." Jadąc po raz pierwszy do Londynu, z przerażeniem myślałem o ulicach miasta, z których cudoziemiec nie ma się gdzie schronić, ani gdzie wytchnąć. W istocie rzeczy znalazłem w Londynie bardzo wiele przeróżnych kawiarń, które wprawdzie nazywają się inaczej i są właściwie herbaciarniami, połączonymi z jadłodajniami czy restauracjami. Wobec tego jednak, że w kawiarni polskiej czy francuskiej również można napić się herbaty, a w angielskiej herbaciarni—kawy, więc wszystko dobrze, tym bardziej, że spotkanie można sobie doskonale wyznaczyć w Londynie w jednym z takich lokalów, zwracając zawczasu uwagę, który zamknięty jest wieczorami, a który przestrzega wypoczynków "week-end'owych" począwszy od soboty w południe, jak na przykład sławny już w sferach polskich "Yarner" (kawiarenka między Oxford Circus a Portland Place). Na szczęście dwie pobliskie kawiarnie otwarte gościnniej, i kilka tysięcy innych, rozrzuconych po całym Londynie przygarniają tych, którzy przywykli spędzać w kawiarni pół życia. Prawda, że Anglicy przebywają w swych kawiarniach krótko: przychodzą zjeść, pogadają, i idą. Kto przywykł do pośpiesznego wypicia kawy, jak w Paryżu ten będzie rozczarowany. Ale i on może pocieszyć się (pośpiesznie . . .) w jednym z "Milk-Bar'ów" czy nieco droższych "Snack-Bar'ów"; te pierwsze zabawiają nasze podniebienie niesłychaną gamą "cocktail'ów" w których alkohole zastąpione są mlekiem, sokami, kawą, lodami. Wystarczy raz skosztować, by zapisać się do klubu anty-alkoholików! Ale o klubach pomówimy na innym miejscu, podobnie jak i o niedrogich lokalach kawiarniano-restauracyjno-herbacianych specjalnego typu, należących do kilku znanych firm, jak Lyon's, A.B.C. (Aerated Bread Co.), Express, B.T.T.—W tych zakładach można nie dawać napiwków, co śpieszymy na razie zanotować, obiecując sobie do tego tematu "pierwszej potrzeby" jeszcze powrócić.



Miary angielskie doprowadzają niejednego Polaka do rozpaczy. Nie taki straszny wilk, jak go malują! Pewien uczony mistyk już dawno dowodził mi, że "stopa" i "cal" są jednostkami naturalnymi i jako takie winny być wprowadzone wszędzie na miejsce systemu metrycznego. Jednak do tej pory "stopa" angielska nie doszła do Polski—czekamy na nią—przyszliśmy po nią . . . Jedna taka "stopa" (the foot, w skróceniu: ft) odpowiada 30,47 cm. i równa się 12 calom. 1 cal (the inch, w skrócie: in) = 2,53 cm. i 12 angielskim liniom.—Do naszego metra zbliżony jest "yard," bo odpowiada 91,43 cm. i równa się 36 calom czyli 3 stopom. "Fathom" to angielski sążeń wynosi 6 stóp czyli 82,8 centymetr. 1 "rod" (pręt) lub "pole" albo "perch" to 5, 029 metra. 1 "chain" (łańcuch) równa się 22 yard'om.1 "furlong" to 220 yard'ów czyli około 1/5 kilometra. Wreszcie 1 "mile" (czyli osławiona mila angielska) odpowiada 1760 yardom czyli 1609, 314 metr., a więc trochę więcej, niż półtora kilometra. Wynika z tego, że 5 mil angielskich odpowiada około 8 kilometrom. Są to mile *lądowe!* Mila *morska* ("Nautical Mile") odpowiada 6080 stopom, "degree" (stopień) = 60 milom morskim czyli ponad 11 kilometrów. Komu się nudzi może sobie obliczyć dokładniej w milimetrach. Może sobie również wyliczyć, że 1 "square yard" (kwadratowy yard) jednostka powierzchni odpowiada 9 kwadratowym stopom czyli około 8360 $cm.^2$.—Zaś w zakresie miar sześciennych (kubicznych) pominiemy milczeniem łatwe do obliczenia "cubic inch," "cubic foot" (= 0,028214 metra sześciennego) i "cubic yard." Zanotujmy za to, że "stack of wood" (sterta drzewa) odpowiada 108 "cubic feet" (sześć. stopom) czyli 3,047 $m.^3$, zaś "shipping ton" (tona okrętowa) = 40 "cubic feet merchandise" (1,128$m.^3$), lub 42 "cubic feet" drzewa. Nie wyczerpaliśmy oczywiście jeszcze wszystkich angielskich mądrości mierniczych.

Zygmunt Frenkiel

Z życia obozów

Święto żołnierskie u "czwartaków"

Już na kilka dni przed uroczystością co ciekawsi Szkoci przepytywali się, co też to za narodowy "Holiday" zamierzają obchodzić Polacy w obozie Nr. 4. Kiedy mówiliśmy im, że to dwudziesta rocznica zwycięstwa nad bolszewikami, gościnni tubylcy dziwili się bardzo, potakiwali licznymi: *O, yes*, ale nie wszyscy skłonni byli uwierzyć od razu. Dopiero, gdy zaczęło się mówić o tym w radio angielskim, a popularny "*Scottsman*" i "*The Scottish Daily Express*" przyniosły artykuły o polskich przewagach w roku 1920, uwierzono "na mur," a znaczenie "*Polish*" wzrosło ogromnie. Bo żeby wyłomotać olbrzymią czerwoną armię tak dokumentnie i to bez pomocy Home Fleetu i R.A.F.? Zadziwiające!—To też zainteresowanie świętem było powszechne i wszystko, co żywe dokoła, wybierało się do obozu, który w tym dniu miał gościnnie otworzyć swoje bramy. Baliśmy się tylko, aby "szkocka pogoda" nie popsuła całości. Jakoż w wigilię od rana zaniosło się na "trzydniówkę," ale potem mocny wiatr (także tutejsza "domowa specjalność") rozpędził chmury i popołudnie, ku radości organizatorów, było już słoneczne.

Rano, na błoniu pod lasem odbyła się msza św. Przed ołtarzem polowym wyciągnęły się długie szeregi żołnierzy, wspaniale ubranych i w nową, już angieslką, broń zaopatrzonych. Przy ołtarzu dowódca obozu, przedstawiciel armii angielskiej i kilkunastu przedstawicieli władz lokalnych cywilnych i społeczeństwa. Chór jednego z pułków kawalerii odśpiewał pieśni religijne, z których gościom szczególnie podobało się uroczyste "Gaude Mater Polonia." Potem wzruszające kazanie ks. kapelana, odczytanie rozkazu Naczelnego Wodza i dowódcy Wojsk Polskich w Szkocji, piękne przemówienie gen. Rudolfa Dreszera i hymny narodowe polski i angielski, odśpiewane przez chór. Potem krótka akademia. St. Strzelec Wieszczek recytuje okolicznościowy wiersz kolegi z "Lwowskiej Fali" Budzyńskiego, poświęcony uczczeniu bohaterów na przestrzeni dziejów Polski mocarstwowej i Polski o wolność walczącej. Ilustracją recytacji są pieśni chóru i produkcje fanfarzystów. Przysięga i defilada przed dowódcą obozu kończą uroczystości przedpołudniowe. Wrażenie wywarły one bardzo silne, właszcza niezapomniana chwila składania przysięgi.

* * *

Odchodząc na żołnierski obiad po defiladzie szanowny komitet festynowy z niepokojem zadzierał głowy i patrząc na chmurne, aczkolwiek "suche" w tym dniu niebo, jedno miał pragnienie: "Byle tylko nie lało"! Zdarzył się jednak w tym dniu cud nad szkocką rzeczułką, której nazwy nikt dobrze wymówić nie potrafi, bo, choć to w tutejszym klimacie wielka osobliwość, nie tylko nie lało, ale nawet słońce uśmiechało się chwilami z za chmur.

Kilka bram ozdobionych jedliną, chorągiewkami herbowymi miasta i hrabstwa oraz sztandarami Anglii i Polski, wskazywało drogę do miejsca, gdzie miał się odbyć festyn. Na bramie miasteczka olbrzymi napis: "*Welcome,*" dzieło starego "wróbla bez dachu" A. Wasilewskiego, zapraszał do wejścia, to też już o 14-ej zaczęły się zaludniać "rejony zabawowe." Ludność miasteczka przybyła niemal w komplecie, a i z sąsiednich osiedli ściągnęło ludu niemało i co chwilę autobus z łomotem podjeżdżał i wyrzucał gwarną, odświętnie przystrojoną zawartość. Z obozu ciągnęły szeregi żołnierzy, które z miejsca oblegały gromady zaprzyjaźnionych dzieciaków mimo delikatnych protestów matek.

Cywilne ubrania, barwne suknie dziewcząt, tu i ówdzie narodowe stroje szkockie, mieszały się z masą mundurów khaki, by razem odpłynąć na pobliskie boisko sportowe, gdzie towarzysze "przeciwpancerni," ku cichej radości piechoty, pokonali ułanów 3:1. Tymczasem na wzgórzu obok drogi, wiodącej do obozu, ukończono ostatnie przygotowania: na potężnej lipie zawisło "koło szczęścia" z nazwami sześciu miast polskich i sześciu szkockich, urocze psy (uchiecha dzieciarni!) wycięte z tektury stały gotowe do wyścigu, strzelnica już rozpoczęła swój program, a na kilku stołach rozłożono bogate i liczne pokusy loterii fantowej. Obok na ławach rozsiadła się orkiestra obozowa, która w tym dniu dawała pierwszy występ.

Zabrzmiały tony walca, gdy skończył się mecz piłkarski i polsko-szkocka fala zaczęła zalewać leśne wzgórze. W szeregach żołnierskich zapanowała niepewność: tańczyć czy nie tańczyć? Może nie wypada weselić się tu na obczyźnie, gdy tam w kraju. . . . Ale z drugiej strony szkockim dziewczętom oczy się śmieją, więc jakoś niepolitycznie udawać, że się nie rozumie. No i walc rozmarza! Więc poszli w tany. Przecież to radosne święto, święto zwycięstwa, dobra zapowiedź na przyszłość!

Tymczasem dzieciarnia nalega, aby puścić już do biegu "doggs," więc kierownik zabawy, otarłszy pot z pucołowatego oblicza nieskazitelnym lwowskim akcentem zaintonował: "Ano dalej, ano dalej, panie i panowie, półpens jest półpensa nie ma, na półpensie świat nie stoi!—Prosimy bliżej"! I zaczęła się zabawa, zakwitnął "hazard" totalizatora psich wyścigów, a dzieci podniosły wrzask uciechy. Obok młodzi Szkoci i Polacy szpikowali różnobarwnymi lotkami tarcze strzelnicy, a sprzedawcy losów z poświęceniem znosili oblężenie.

Około godziny 18-ej pojawili się na terenie festynu goście z Londynu i Komendy W.P. w Szkocji, a niemal jednocześnie ogromna orkiestra górników z sąsiadującej z obozem kopalni, we wspaniałych, złotem wyszywanych uniformach, zagrała skocznego marsza. Tłok się uczynił wielki przy bufetach, a pomarańcze i banany znikać zaczęły ze skrzyń w zastraszającym tempie. Ledwie tancerze nicy zdołali nieco odpocząć, zapowiedziano zawody bokserskie i ring, ulokowany pod lipami otoczyły masy ludzi. Gwar się podniósł ogromny; zawodników podniecano polskimi i angielskimi okrzykami do męstwa, a z drugiej strony wzgórza przy loterii i kole szczęścia brzmiało niemal bez przerwy: "Ano dalej! ano dalej!" i ci, dla których zabrakło miejsca "na widowni" próbowali szczęścia przy innych atrakcjach festynowych.

Po zawodach bokserskich (zwyciężył Adamczyk "z miasta Łodzi") rozpoczęli pracę siatkarze, a tymczasem z ringu usunięto sznury i przerobiono go na scenę. Już pojawił się koferensjer (kol. Wieszczek) i w dwuch językach (Szkoci pokładali się ze śmiechu!) zapowiedział program. Potem śpiewał chór strzelców, dzieci szkockie wspaniale tańczyły, harmoniści wygrywali Kujawiaki, a Włada Majewska po polsku i po angielsku przy akompaniamencie całej widowni śpiewała piosenkę o dalekim Tipperary i kilka innych. Angielski monolog Wieszczka wykończył "śmiechowo" Szkotów do reszty, poczem wkroczyli na scenę "zbójnicy" w bajecznie kolorowych strojach i zaczął się taniec. W pewnym momencie program został przerwany hucznymi wiwatami. To witano wielkiego przyjaciela Polaków Lorda Dollana z Glasgowa, zaszczyconego świeżo godnością honorowego Ułana Brygady.

Wieczór już zapadał i wypadało kończyć, ale domagano się chóralnie naddatków, więc śpiewała Włada i st. ułan Czerny, a Józek nie mógł nastarczyć "imitejszyn of animals." Wreszcie jednak fala gości zaczęła odpływać ku bramie miasteczka; zahuczały motory aut, a górnicza orkiestra wśród ogólnego entuzjazmu ucięła niespodziewanie siarczystego krakowiaka. Gromady żołnierzy wracały do obozu. Krzyżowały się polskie i angielskie pożegnania, wzgórze pustoszało powoli.

Ale święto nie było jeszcze zupełnie skończone, bo wielu Szkotów zaprosiło żołnierzy na "kubek herbaty." Ten i ów wymawiał się i certolił, ale kończyło się zwykle tak, że górnik obejmował gościa serdecznie ramieniem wpół i prowadził do domu. Zmierzch nastał zupełny i pusto już było na drodze, przy kominkach w gościnnych schludnych domkach siedzieli żołnierze polscy i gwarzyli i śpiewali. Nie dałbym nawet głowy za to, czy prócz herbaty, na którą opiewało zaproszenie nie pito tam jeszcze innych trunków ku uczczeniu rocznicy zwycięstwa.

Ludwik Bojczuk

LIST

Pise haw z tela
Liścik niewielki
Nie bedzie słów wiela.
Pise na skockiej grani
Jak u nos na holi
I serce cłeka boli
Bo to nie od sie.
. . . .
Chodze i śwircki okiem głosce.
Hej! krzyknąłbym se jak u nos
Ino sie strachają owce.
Kiej przymknies ocy
A kucnies przy sośni
To ci serce rośnie,
Jak swojoki gwarzą. . . .
Po nasemu, po polsku,
Gadają ze Bedzie,
ze Wróci. . . .
Ze Jasiek we wojsku
Ze nasi wygrali
Ze onego tak sprali
Ze ani go nie widnąć.
Siedzis i słuchos
A sośnia ci sumi
Jak umi.
I ta ci dusom rado
Jak umi tak godo.
I wiater i rzyka
I słonko ciepło krzeso
I ptoski kiej muzyka
Ta najpiekniejso
Na nasem weselu.
Tobie zaś sytko to niewielo.

Józef Wieszczek

Powstaje nowa kompania

Na wojnie zabijają ludzi, ale wciąż rodzi się wojsko.

Z naszej dawnej czwartej kompanii ciężkich karabinów maszynowych—podzielono wiarę żołnierską na dwie części, jako zalążek dwu innych kompanii cekaemów. I tak, przez podział powstały dwie nowe kompanie cekaemowe. Dołączono jako uzupełnienie—wiarę z innych formacyj, obsadzono etaty oficerskie. I kompania jak się patrzy. Jak ulał.

O narodzinach człowieka, o wojnie—wypisano całe tomiska. O narodzinach człowieka da najlepsze, ba, oryginalne świadectwo pierwsza lepsza akuszerka. O wojnie—każdy z wiary żołnierskiej może przez noc całą opowiadać historie długie i krótkie. O narodzinach nowej kompanii może powiedzieć tylko ten, kto uczestniczył w stadiach jej narodzin. A z naszego żołnierskiego doświadczenia wiemy, że takich, którzy pomagali powstawaniu nowej kompanii jest nader niewielu. Zazwyczaj—ów kompanijny akuszer sam nie wie kim jest. Postarajmy się tedy za wszystkie kompanijne akuszerki spisać dzieje powstania kompanii.

Pewnego dnia na rozkazie w kompanii macierzystej słyszysz, że ów idzie do kompanii Y, a tamtem do kompanii X. I już tego wieczora, wprawdzie pod jednym płótnem namiotowym—ale poczynają żyć swoim tajemniczym życiem duchowym dwie nowe kompanie. Możesz wówczas całkiem śmiało powiedzieć, iż dnia tego wylęga się dusza kompanijna każdej z tych nowych przyszłych kompanij. Noc taka jest bardzo, ale to bardzo uroczysta. W czasie jej trwania najprawdopodobniej w rejonie własnym rodzącej kompanii wiara żołnierska jest osobowo nader nieliczna. A jeszcze należy dodać, że istnieje i jest praktykowany zwyczaj podhuśtywania szefa kompanii rodzącej. Niby, że to ostatni wspólny rozkaz. W tajemnicy wam zdradzę fakt, że od niedawnego huśtania mojego rodzonego szefa—jeszcze mnie ręka boli. . . .

Następnego dnia odbywa się praktyczny rozdział rodzącej kompanii. Wyczytani podług listy zabierają lary i piernaty wojskowe, *vel* koce i sienniki i jako dwie odrębne grupy udają się do nowych dwu miejsc postoju. Jedni skręcają za rzeką na lewo. Tam będą niewątpliwie kontynuowali najświetniejsze karty życia bretońskiego. My tymczasem—również za rzeką, skręcamy w prawo.

Pierwsze zakwaterowanie na nowym postoju. Deszcz szkocki ciurkiem nad naszą mitręgą pochlipuje. Kwaterujemy się byle jak. Wiadomo bowiem, że już jutro przeniesiemy się do właściwego rejonu zakwaterowania. W międzyczasie, przychodzi uzupełnienie. Znajomkowie, albo i zgoła nie-znajomkowie. Brać żołnierska jeszcze siebie wzajem nie zna, to też na tym tle wynikają zabawne nieporozumienia.

I istotnie, jutro, wewnątrz tego samego obozu obejmujemy w posiadanie własny rejon, w którym—można chyba tak powiedzieć—kompania się opierzy, skoro zgodnie z wymogami aktów stanu wojskowego zdążyła przyjść na świat.

Cóż oznacza opierzenie się kompanii? Poza zupełnie zrozumiałą koniecznością zgrania się wewnętrznego i zewnętrznego wiary żołnierskiej—należą do tego akcesoria natury urzędowej.

Pierwszym aktem urzędowym opierzenia się kompanii jest dzień pod znakiem zbiórek. Przed śniadaniem zbiórka, po śniadaniu zbiórka. Przed obiadem zbiórka, po obiedzie zbiórka. Przed kolacją zbiórka, po kolacji zbiórka. Omal, że nie wśród nocy. Ale temu pewnikiem przeszkadza deszcz. . . . Otóż, kiedy już jesteś należycie i wielokrotnie "zebrany"—można wcale, wcale przyjąć, że kompania jest jako tako opierzona.

Więc tedy najwłaściwsza pora na taki miły i sympatyczny apel mundurowy. Zbierasz manatki do kupy w koc i meldujesz na zapytanie, że na przykład kalesony są, ale, że nie masz chustek od nosa. Że buty masz, ale nie masz furażerki. Że masz szczotkę, ale za to nie masz menażki. . . .

Wówczas rozpoczyna się fasowanie.

Po fasowaniu bada cię lekarz.

—Jaki stopień?

—Strzelec.

Lekarz z zadowoleniem, triumfująco się uśmiecha.

—Ho, ho, dzisiaj strzelec to prawdziwa podstawa armii.

Po badaniu lekarskim kąpią cię—żołnierzu tułaczu Atlantykiem przywędrowamy, no i sporządzają ewidencje. Żebyś zaś się nie pogubił przy następnych podobnych procesach—jest to badanie lekarskie nr. 1, kąpiel nr. 1, ewidencja nr. 1.

Jeszcze kompania jest zaledwie opierzona. Opierzenie to chude i mizerne, szczególnie anemicznie uwidacznia się przy pobudce i przy apelu wieczornym. Przy pobudce nie można się wprost wiary dobudzić i "zaprosić" do wstania. Znów przy apelu wieczornym nie można się wiary doliczyć. To zapewne dlatego tak tylko, że kompania zaledwie opierzona. To one narastające pierze tak kolosalnie utrudnia normalny tok życia żołnierskiego. . . .

Wreszcie nadchodzi ów historyczny dzień w rozwoju nowopowstającej kompanii. Rodzą się w jej obrębie plutony i drużyny. Można snadnie tę uroczystość zaliczyć do rzędu chrzcin. Jeno, że te u nas odbyte chrzciny są widocznie nieformalne. Wszak whisky kosztuje tyle szylingów, i tyle jej by się zdało.

Chrzczą się w kompanii plutony i drużyny, nie pod imieniem świętych Pańskich, ale po prostu od nazwiska swoich dowódców. Więc po raz ostatni zmienia się namioty, usadawia się w nowych ostatecznie. Te już namioty mają być domem dla drużyn i plutonów na jakąś dłuższą metę.

I znów badanie lekarskie. Medycyna święci triumfy. Wszyscy zdrowi. Znów kąpiel, dla wielu kąpiel zapomnienia. Znów ewidencja—dla wielu ewidencja przypomnienia i stwierdzenia tego faktu, iż dane personalne są dziedziną przez tego i owego opanowaną najlepiej.

Tak oto z dniem każdym, z godziny na godzinę kompania dojrzewa. Przygotowuje się mozolnie do swoich twardych a wysokich żołnierskich przeznaczeń.

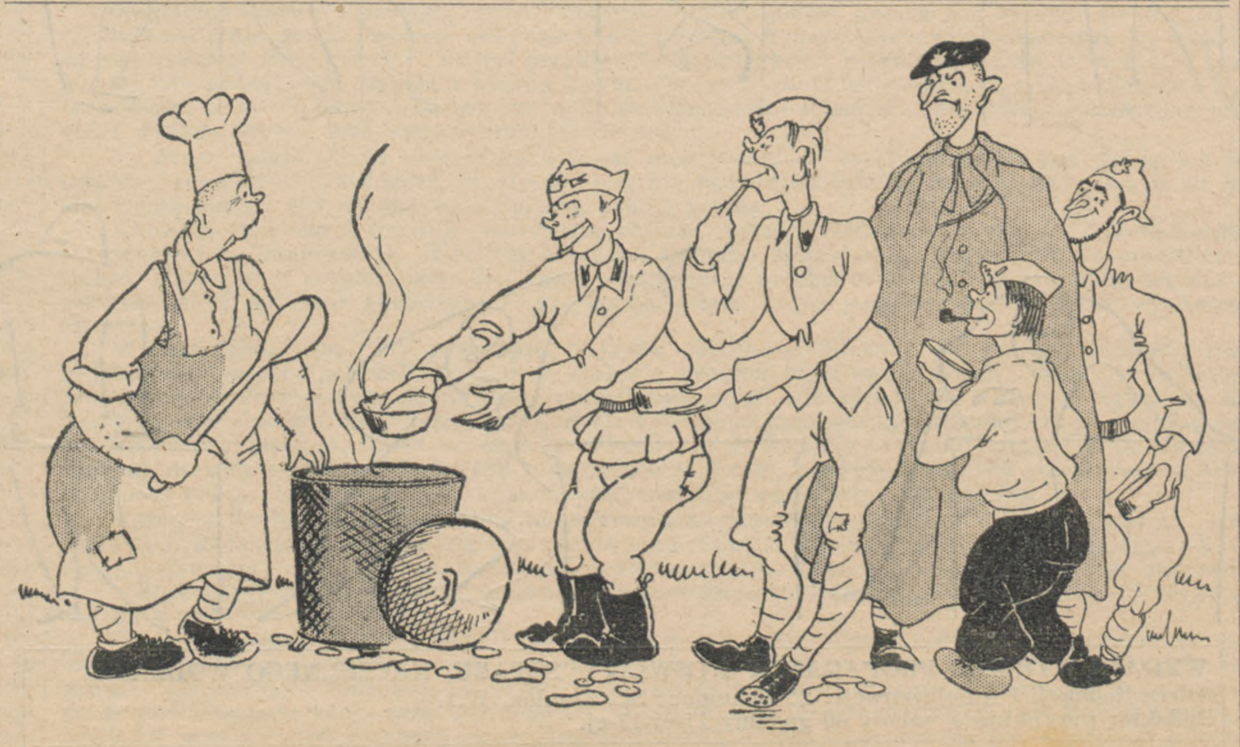
Dojrzałość zaś kompanii uwidacznia się i między innymi w tym, że na pobudkę wiara bardziej czuła, i apel wieczorny jak należy przykładnie umie uczcić stosowną frekwencją niczym dobry mecz piłkarski.

Oto już kompania dojrzewająca.

O dalszych jej losach—wierzcie mi—będę donosił.

Jej narodziny i jej dziecięctwo są po raz pierwszy żywcem uchwycone. Wybaczcież tedy, o, mili czytelnicy, że może zbyt monotonnie. W zwierciadle życia żołnierskiego jedna jest tylko rzecz niemonotonna: obowiązek śmiertelnej walki z wrogiem.

Wawrzyniec Czereśniewski



rys. Marian Smarzewski

Przegląd polityczny

Radio włoskie podało wiadomość o przyłączeniu tych obszarów Polski, które dotychczas w administracji niemieckiej nosiły nazwę "protektoratu"—do rdzennie niemieckich prowincyj Trzeciej Rzeszy. Nie zamierzamy bynajmniej tracić czasu na komentowanie tego faktu z punktu widzenia prawa międzynarodowego. Do tylu ogniw bezprawi Hitlera—przybyło jeszcze jedno. Tego aktu nie uzna żaden naprawdę cywilizowany Europejczyk. Nie uzna go również świat. Co do nas—to nie mieliśmy nigdy złudzeń co do metod rządów totalnych. Trudno wymagać poczucia prawa międzynarodowego od ludzi, którzy z całą świadomością postawili siebie poza nawiasem jakiegokolwiek prawa. I tylko brak nam słów na oddanie tej strasznej troski o los naszych rodaków w kraju, których życie staje się już czymś więcej niż męką.

Dzieje okupacji niemieckiej w Polsce są nie tylko bardzo ciężkim doświadczeniem i bardzo ciężką próbą, na jaką nas Bóg wystawia. Są również przestrogą. *Są ostrzeżeniem dla tych, którzy mogliby mieć jeszcze jakiekolwiek złudzenia w sprawie tej nowej Europy, jaką ma zamiar tworzyć Trzecia Rzesza.* Nad wiadomością podaną przez radio rzymskie—powinni się bardzo poważnie zastanowić Włosi. Powinien zastanowić się również ten nieszczęsny minister spraw zagranicznych rządu w Vichy, który odpowiadając na mowę Churchilla mówił o dniu 10 maja 1940, jako o "narodzeniu nowej ery w dziejach Europy i nowych metodach współpracy ludów kontynentalnych." Rozpoczyna się ona wykreśleniem z karty Europy 30 milionowego narodu! Oto zasady nacjonal-socjalizmu stosowane w praktyce! *Oto potwierdzenie teorii, będącej kamieniem węgielnym całego ruchu hitlerowskiego, a streszczającej się w zdaniu kanclerza, że "najświętszym prawem każdego narodu jest jego prawo do życia, które objawi się w czystości rasowej i etnicznej społeczeństwa."* Dzisiaj już na terenach okupowanych przez Trzecią Rzeszę przypada na każdego Niemca jeden nie -Niemiec, jeden "obcoplemienny." A ma być to dopiero początek. Walka z Anglią i co raz to prawdopodobniejszy konflikt ze Stanami Zjednoczonymi ma być—według własnych słów Hitlera—rozgrywką o panowanie nad światem. Na przykładzie Polski widać, jakby to panowanie wyglądało.

Dekret, przyłączający kraje rdzennie polskie do Niemiec jest jeszcze jednym dowodem i olbrzymiej siły charakteru i lojalności narodu polskiego względem swoich sprzymierzeńcow. Przez jedenaście miesięcy szukali Niemcy w Polsce Hachy lub Quislinga. Szukali człowieka, którыby podjął się utworzenia "rządu," którыby pojechał do Berlina by składać hołd i przyjmować z rąk kanclerza złamany krzyż, oznakę nowej wiary w nazizm i totalizm. I tego człowieka nie znaleźli. W społeczeństwie zniszczonym wojną, wygłodzonym, narażonym każdego dnia na wszystkie katusze moralne nie znaleźli nikogo, kto by dał się ugiąć, spodlić i zdradził zarówno swój naród, jak i tych, którzy w obronie zarówno tego narodu jak i prawa Europy do życia wystąpili do walki.

Podczas, kiedy Polska trwa na posterunku, walcząc o każdą piędź ziemi—jesteśmy świadkami podziału tych państw, które poszły po najłatwiejszej drodze oporu, a raczej pozwalają się likwidować bez oporu. I tak Rumunia traci po Bukowinie i Bessarabii dużą część Dobrudży, mianowicie te obszary, jakie zyskała po wojnie w 1912 roku. Prędzej czy później straci również Siedmiogród. Węgrzy nie chcą słyszeć o jakichkolwiek ustępstwach i jako minimum swych żądań stawiają—12 powiatów siedmiogrodzkich, to jest trzy czwarte całej Transylwanii. W Bukareszcie rozdzierają szaty, ale nacisk niemiecki jest tak silny, że prędzej czy później rząd króla Karola będzie musiał przyjąć dyktat berliński.

Bardzo poważnie zagrożona jest także niepodległość Grecji. Włosi gromadzą wojska w południowej Albanii a flota Mussoliniego manewruje w okolicach Krety. Ludy bałkańskie, po krótkim okresie rozwoju, jaki nastąpił po wojnie światowej popadają znów w niewolę i zależność od potężnych w tej chwili sąsiadów. Mści się tu również dawna, egoistyczna polityka państw bałkańskich. *Sprawy europejskie łączą się bardzo ściśle ze sobą—i upadek Polski, powoduje katastrofę wszystkich mniejszych państw od Oceanu Lodowatego aż po Morze Egejskie.* Uświadamiają sobie ten fakt coraz lepiej i w Bukareszcie, i w Helsinkach i w Belgradzie oraz Atenach. Niestety, jak to zwykle bywa—zapóźno. *Nie tylko z istnieniem ale i z potęgą Polski złączona jest nierozerwalnie równowaga europejska.* Jest to fakt niemal przyrodniczy—tak bardzo naturalny i tyle razy potwierdzony przez dzieje. Doświadczenia 1939 i 1940 roku są straszną lekcją historii, która uznaje tylko konsekwencje. Oby z nich wyciągnięto wszystkie wnioski na przyszłość!

tk

Demaskujemy wrogów

"Izwiestia" lituje się nad upośledzeniem politycznym kobiet polskich. Organ bolszewicki pisze: "Ciężka była dola kobiet w Polsce rządzonej przez panów. Kobieta nie brała udziału w wyborach i nigdy nie mogła być wybrana". "Izwiestia" nagle zapomniały, że kobiety w Polsce miały czynne i bierne prawo wyborcze, czego nie ma i nie miał żaden obywatel sowiecki. Jeśli chodzi o wybory — obywatel sowiecki ma istotnie wybór dość ułatwiony. Może tylko wybierać między głosowaniem na Sowiety a głodowaniem na Wyspach Sołowiejskich.

∴

Styl prasy niemieckiej obniża się i schodzi do poziomu niechlujnej, histerycznej prozy autora "Mein Kampf." Czyż może być inaczej, gdy pisarstwo kształtuje się nie na wzorach wielkiej literatury, a na wrzasku agitacyjnym? Niedawno jeden z przywódców hitlerowskich, niejaki p. Seldte oświadczył na łamach "Voelkischer Beobachter", że "robotnicy polscy *muszą dobrowolnie zobowiązać się* do pracy na rzecz Rzeszy". Pojęcia przymusu i dobrej woli zatarły się w umyśle p. Seldte.

Niejaki p. Wohltat z „Essener National Zeitung" pisze, że "obszar życiowy Niemiec rozciąga się od Skandynawii na całe Bałkany, wobec czego Rzesza w walce a swoją niepodległość jest jedynym krajem, który ma prawo słuszności". Znaczy to ni mniej ni więcej tylko, że nie Polska walczyła o swoją niepodległość—a Niemcy.

Naród niemiecki karmiony jest zarówno fałszywym tłuszczem, jak i fałszywymi słowami. Ersatz kawy i ersatz myśli. Fałszowanie masła i fałszywe hasła.

∴

Władze niemieckie zabroniły sprzedaży książki Goeringa "Tworzenie państwa". Końcowe wywody autora istotnie są w obecnym układzie politycznym dość niewygodne. Oto parę zdań ze skonfiskowanej książki. "Walką, mającą rozstrzygające znaczenie dla przyszłości Niemiec, Europy i świata będzie pojedynek pomiędzy swastyką a czerwoną gwiazdą. Jeżeli czerwona gwiazda zwycięży — Niemcy znikną w zawierusze czerwonego terroru, który obejmie cały świat". Jak wiemy nie doszło do pojedynku między swastyką a czerwoną gwiazdą, nastąpił natomiast sojusz, który można by nazwać sojuszem nie tyle z pod czerwonej, co z pod ciemnej gwiazdy.

Nemo

Skrzynka pocztowa

"Na wstępie poczuwam się do obowiązku wyrażenia WPanu słowa uznania za wznowienie wydawnictwa tygodnika "Polska Walcząca," który został w obozach polskich tu na obczyźnie przyjęty z wielkim uznaniem i jest rozrywany przez nas żołnierzy, pozbawionych tutaj "słowa pisanego."

Jan Olgierd Bożenko

* * *

"Kuplecik szkocko-polski (No. 22) bardzo mi się podobał i chociaż nie jestem muzykalny dostosowałem do niego melodię Krakowiaka:

Krakowiaczek jeden
Miał koników siedem,
Pojechał na wojnę,
Został mu się jeden.

No i nieźle się słyszy, proponuję spróbować, o ile nikt jeszcze nie skomponował melodii."

M. Królikowski

* * *

"Gdy przybyliśmy do Anglii ofiarowaliśmy szczerze życzliwym gospodarzom to, cośmy mieli najdroższego—orzełki z czapek. Rozstawaliśmy się z naszym godłem z poczuciem żalu. W obozie jeden drugiemu zazdrościł posiadania znaku przynależności narodowej. W kilka dni każdy go posiadał, własnoręcznie wykonany z blachy z puszek. Spacerując po obozie, można zauważyć różne orzełki, od najskromniejszych do artystycznie wykonanych. Niektórzy poświęcili menażki aluminiowe na ten cel. Ja poświęcam tym orzełkom załączony wierszyk:

ORZEŁEK BLASZANY

Choć nie jesteś tak wspaniały,
Jak tam w kraju wolnym
Wierzę w Ciebie Orle Biały.

Tam tłoczono cię w złocie,
Wykuwano w marmurze,
Haftowano jedwabiem,
Tu niezgrabnie
Wycinają Cię z puszek blaszanych.

Jesteś skromniutki, lecz potężny
Potężny naszym umiłowaniem.

Pieścimy Cię w sercu,
Nosimy we krwi i na czapkach,
Szczycimy się Tobą.
Wierzymy w Ciebie jak w Boga;
Wierzymy, że zwyciężysz,
Boś biały,
Niepokalany zdradą;
Nieśmiertelny!
Zwyciężwysz!
Nami zwyciężysz.

Franciszek Gąsiorowski

Dołączonego do listu orzełka redaktor "Polski Walczącej" pozwolił sobie zachować na pamiątkę.

* * *

"Rano, rano raniusieńko, rano po rosie; wyganiała Kasia wołki roz . . ."

Dość!

Dość mamy tego rodzaju pieśni. Ścigają nas one od pierwszego dnia przybycia do Francji—aż po dziś dzień tu w Szkocji. Śpiewamy je na życzenie lub nieme zezwolenie przełożonych, śpiewamy ze wstrętem.

Pieśń w wojsku odgrywa ważną rolę; zespala współtowarzyszy broni, krzepi ducha, pozwala zapomnieć o troskach, chroni przed zniechęceniem. Ale musi to być pieśń porywająca, śpiewana samorzutnie, z entuzjazmem, a nie na rozkaz.

W czasie mego pobytu w C.S.P. w Coëtquidan zauważyłem niechęć do śpiewu. Tu ten dziwny dla Polaków objaw daje się również zauważyć. Dlaczego?

Z prostej przyczyny. Znudziły się śpiewane, stale powtarzane te same pieśni. Jednostajność nuży. A śpiewanie tylko dlatego, aby nie gniewać przełożonego jest bezuczuciowe, a tym samym bezwartościowe, nawet szkodliwe.

Łakniemy pieśni bojowej, serdecznej, mocnej, równej "Warszawiance." Chcemy śpiewać! Dajcie nam pieśni!

Czasy powstań, Legionów, niewoli zrodziły wiele pięknych, potężnych pieśni. A obecnie? A dziś? Prócz pięknej, bardzo chętnie śpiewanej pieśni religijnej Kowalskiego—"Panie, który jesteś w niebie" i trudnej do śpiewania w marszu na nutę szyldwacha "Jeden nas łączy los" . . . nic nie mamy, nic nie znamy.

Wołamy do kompozytorów, poetów o pieśni odpowiadające chwili. Prosimy redaktorów dzienników polskich o zbieranie i o częste drukowanie na łamach pism pieśni. Radzimy kompozytorom zebrać wiersze (proste, szczere z serca) poetów obozowych—często bardzo wartościowe—i skomponować do gotowych słów popularne melodie, ale mocne, zachęcające do śpiewu, porywające. Prosimy o stałe fachowo prowadzone godziny śpiewu—fachowców jest wielu, a czasu marnotrawimy dosyć.

Prosimy przy sposobności inicjatorów i egzekutorów śpiewu w marszu o zaniechanie głośnego wołania: trzy, cztery i nie wymagania zbyt głośnego śpiewu.

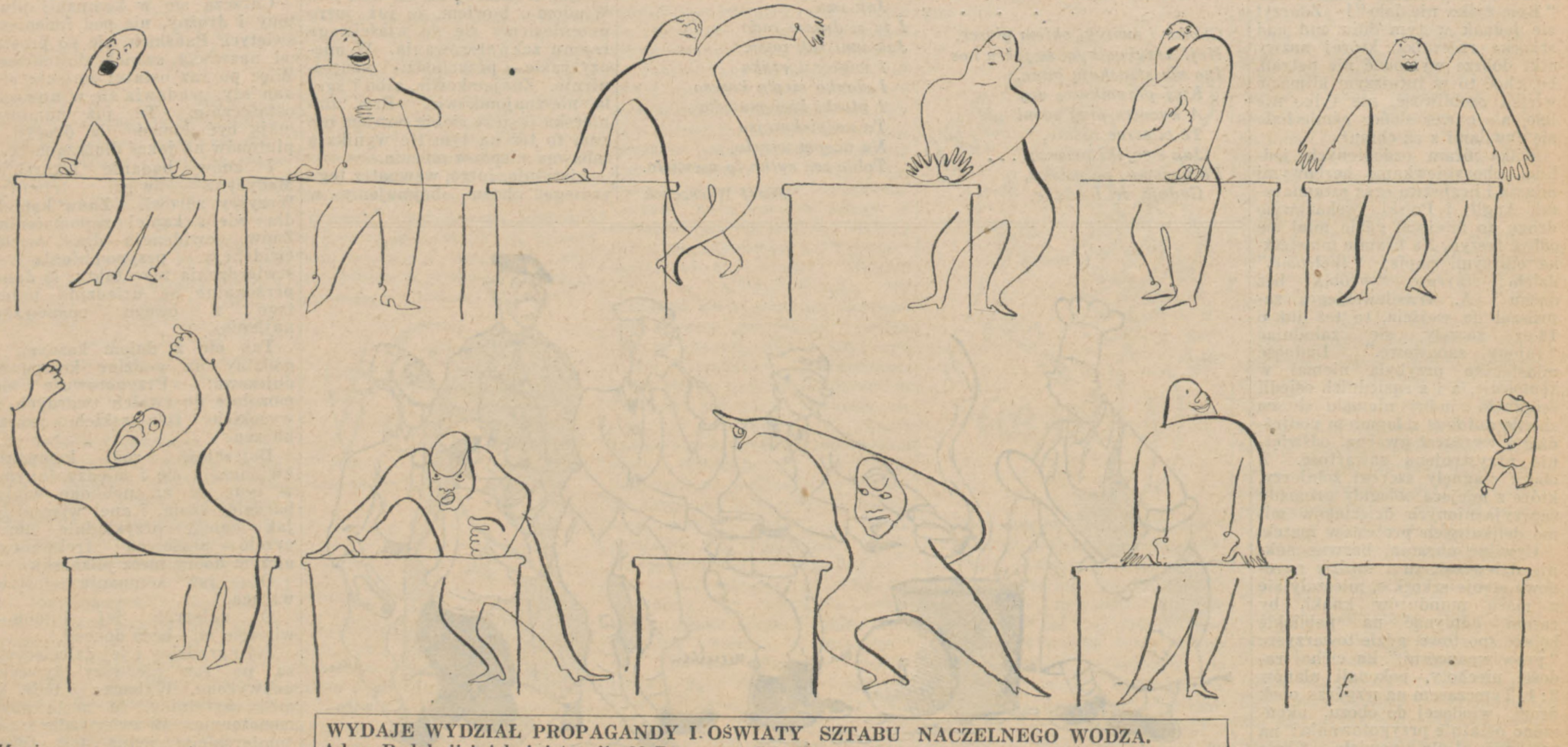
Strzelec z censusem G.F.

W numerach wydanych we Francji "Polska Walcząca" umieściła kilka pieśni z nutami, głównie pióra Antoniego Bogusławskiego. Będzie się starała i teraz, w miarę swoich sił, odpowiedzieć temu zapotrzebowaniu. Gorąco zachęca wszystkich, do których skierowany jest powyższy apel, aby jej przyszli z pomocą.

* * *

Autor niepodpisanego listu o ewakuacji.

Na krytykę artykułu p.t. "Rosmowa z demagogiem," umieszczonego w pierwszym numerze "Polski Walczącej," wydanym w Anglii, odpowiadamy Koledze z opóźnieniem, bo chcieliśmy, abyście mieli czas z pewnego oddalenia spojrzeć na rzeczy, które z bliska wydały wam się tak złe. Wracaliśmy do sprawy ewakuacji niejednokrotnie. W ostatnim numerze Zygmunt Dąbrowski szeroko opisywał ten bolesny fragment naszej żołnierskiej historii. Do tego, co się już pisało dodajemy jeszcze kilka stwierdzeń. Rozkazy ewakuacyjne były wydane najwcześniej, jak można było. Ewakuacja odbywała się w obcym kraju, rozbitym, zdezorganizowanym, wśród wypadków, które biegły w oszałamiającym tempie. Unieśliśmy z klęski wszystko, co można było unieść. Rozmiar tego, czegośmy dokonali wzbudza zdumienie Anglików. Drobnych faktów, które tłumaczą się aż nadto dobrze nastrojami chwili nie można uogólniać. Wszyscy żałujemy strat, jakieśmy we Francji ponieśli, ale one nas nie upoważniają do jątrzeń i oskarżeń, ale zobowiązują wszystkich do trwania i walki za siebie i za tamtych—straconych.



Maniery pewnego mówcy

Rysował (nie z natury) Tef

WYDAJE WYDZIAŁ PROPAGANDY I OŚWIATY SZTABU NACZELNEGO WODZA.
Adres Redakcji i Administracji: 23 Beaumont St., London, W.1.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clement's Press, Portugal St., Strand, W.C.2.